ROK III. Nr. 6 (106). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 8 lutego 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



35 LAT ŚMIECHU NA SCENIE

ANTONI FERTNER — JUBILATEM

Co słychać na świecie



Bawarscy książęta — Ludwik, Ferdynand i Józef, zostali mianowani rycerzami orderu hiszpańskiego Calatrava.

Ogólną sensację budzi na całym świecie proces, wytoczony lotnikom polskim, którzy z powodu mgły i śnieżycy przekroczyli granicę. W motywach wyroku, mocą którego oskarżony Wolf został skazany na 14 dni więzienia (po trzech tygodniach aresztu prewencyjnego!) podkreślono, iż wypadek został spowodowany niedbalstwem. Poruszono przytem i tę przedziwną okoliczność, iż oskarżeni przyczynili się do wzbudzenia niepokoju wśród ludności Śląska Opolskiego (?), którego skutki odbiją się na interesach Rzeszy.

W tym samym dniu, kiedy ogłaszano ten zdumiewający wyrok, opuścił się w Wolsztynie lotnik niemiecki, Hans Gruse — nie wojskowy wprawdzie, lecz Stahlhelmowiec, nie lecąc w pojedynkę, lecz podczas wykonywania jakichś manewrów zbiorowych i wreszcie — co najważniejsze — bez przyczyny uszkodzenia motoru lub specjalnych warunków atmosferycznych.

*

Francuski premjer Laval wygłosił programowe przemówienie. W wyniku głosowania gabinet osiągnął większość 54 głosów. W mowie swej premjer podkreślił konieczność porzucenia wszelkich walk i skupienia całej uwagi na zagadnieniach gospodarczych. Sprawy te istotnie zaczynają budzić we Francji poważne obawy, albowiem, jak wynika z ostatnich sprawozdań, bezrobocie dotknęło różnych gałęzi produkcji i rozszerza się dość szybko. Oto np. kopalnie skróciły o 1 dzień pracę, produkcja rudy została ograniczona o 30%, przemysł automobilowy zwolnił 20—30% robotników, przemysł jedwabniczy — o 30%, a w niektórych gałęziach produkcji redukcje doszły do 40%.

Wobec widma klęski gospodarczej warto odłożyć waśnie partyjne na stronę!...

*

W ub. tygodniu bawiła w naszej stolicy wycieczka przemysłowców szwajcarskich, zainteresowanych w robotach inwestycyjnych m. stoł. Warszawy. Oferty są, podobno, nader tentujące...

*

Do sprawozdania z tygodnia dodać należy jedno z mniej ważnych zdarzeń, które jednak zainteresuje najszersze sfery stołeczne. Oto bowiem Sąd Najwyższy wydał orzeczenie, w którem odmawia słuszności magistratowi m. Warszawy w sprawie „podatku od siedzenia" w restauracjach i kawiarniach. Nareszcie!... Lecz któż nam odda pieniądze, zapłacone magistratowi tytułem podatku, kary za zwłoki, kosztów egzekucyjnych i t. d., któremi od paru lat prześladowano mieszkańców stolicy?...



Premjer francuski, Pierre Laval, odniósł zwycięstwo w Izbie, osiągnąwszy większość 54 głosów.



Amerykańskiemu sędziemu, Ben Lindsayowi, wytoczono proces o obrazę moralności publicznej za propagowanie wolnej miłości.



Też forma zasiłku... W niektórych miastach amerykańskich rozdają bezrobotnym... kapelusze.



Sensacyjny proces polityczny przeciw członkom P. P. S., Jagodzińskiemu i towarzyszom został przerwany do dn. 14 b. m.

Legenda w walce z prawdą

(BOHATER VERDUNU W GRONIE „NIEŚMIERTELNYCH").

Paryż, w styczniu.

Nie mam zamiaru powtarzać wiadomości, które z pewnością pisma codzienne zdążyły już podać, opisując szczegółowo przebieg uroczystości przyjęcia marszałka Pétaina przez Akademję Francuską — na miejsce nieodżałowanej pamięci marszałka Focha. Nie będę cytował wyjątków z mowy powitalnej, wygłoszonej przez poetę, Paul Valéry'ego, ani przemówienia marszałka Pétaina, sławiącego uświęconym zwyczajem zasługi swego wielkiego poprzednika.

Przemówienia były ponad wyraz piękne i wzruszające. Licznie zgromadzona publiczność serdecznie podkreślała cały swój podziw dla marszałka. „Tout-Paris" umie również czuć szczerze.

I nikt może nie zauważył, iż za plecami nowego elekta czai się cień, cień t. zw. — *legendy* *), która potrafi popsuć choćby najpiękniejszy konterfekt. Złośliwa ta istota nikogo nie oszczędzi i lubo zbudowana jest na najbardziej nieprawdopodobnych przesłankach, rozdmuchiwanych przez stugębną famę — znajduje wielu sympatyków.

Legenda jest doprawdy bezlitosna i biada każdemu, kto wpadnie w jej sieci. Oto weźmy, naprzykład, jak spaczyła obraz o zwycięzcy z nad Marny, niedawno zgasłym marszałku Joffre. Potworna karykatura bohatera, który miał być rzekomo niedołężnym, ulegać na każdym kroku wpływom kliki, nie umiał przejawić swej woli, gdyż milsze mu były ponad wszystko — stół i dobre łóżko, spokój sybaryty. I nie dziw, że bezwiednie ludzie zaczynają wierzyć legendzie i pogłębiać ją, na co liczne dowody znajdowaliśmy we wspomnieniach o nim, i to nawet po zgonie marszałka, kiedy wszyscy pragnęli uczcić pamięć wodza. A więc ugrupowanie fotografij: plany sytuacyjne bitwy nad Marną, a obok marszałek przy stole jadalnym, tu znów zdjęcia łóżek, w których spał w owym czasie; inne pisma z lubością powtarzają anegdoty o charakterze czysto gastronomicznym i t. d., i t. d.

W podobny sposób uczyniono szarżę z pięknej postaci Tygrysa — Clemenceau, jak również i Focha.

Legenda nie ominęła i Pétaina. Najzupełniej mylnie przypisują mu, iż był kunktatorem, zwolennikiem akcji obronnej, ciasnym, zakutym doktrynerem, nie umiejącym wyciągać praktycznych wniosków z konjunktury bojowej — człowiekiem niewielkim.

Jakże łatwo przekręcić rzeczywistość i skrzywdzić człowieka, choćby był uosobieniem prawości, męstwa i energji, a hołdował li tylko realizmowi, popartemu talentem i głęboką wiedzą.

Bo takim właśnie był zawsze Pétain — najdzielniejszym z żołnierzy i najmądrzejszym z wodzów.

Nie poznano się na nim i przed wojną. Awansował niezmiernie wolno, wysługując mozolnie każdą rangę, aż do chwili wyczerpania starszeństwa, i z pewnością, gdyby nie wojna„ byłby wyszedł do rezerwy w randze pułkownika. Nic to, że dowódca korpusu — obecny marszałek Franchet d'Esperay, niejednokrotnie domagał się mianowania go generałem i stale wyróżniał z pośród innych oficerów. Odpowiadano, iż jest miernotą, złym oficerem. Na taki sam upór natrafił Painleve, kiedy zażądał, by Pétainowi, opromienionemu aureolą zwycięskich walk pod Verdun, oddano naczelne dowództwo. Boć i zasługi za Verdun nie jemu wówczas przypisywano — a przeciętnemu oficerowi, gen. Nivelle, które mu zresztą równie szybko powierzono dowództwo, jak i usunięto z niego. Za cóż z podobną niechęcią traktowano Pétaina? I znów powrócimy do legendy, która tym razem zdaje się całkowicie uzasadniać wyrobienie o nim fałszywego poglądu. Oto weźmy chociażby stosunek do niego prezydenta Poincarégo. Opowiadają, że któregoś dnia, zwierzał się przed nim Poincaré z trudności, na jakie napotyka, nie mogąc uczynić tego lub owego posunięcia, na które nie pozwalała mu konstytucja. „Konstytucja? — miał odpowiedzieć Pétain. — Czyż można się z nią liczyć? Pluć panu na nią..." (dosłownie: „Asseyez vous dessus...).

Innym razem, podobno, kiedy prezydent przybył do sztabu po zakończeniu akcji pod Verdun'em i winszował Pétain'owi zwycięstwa — ten miał odpowiedzieć w nast. sposób: „...Jeśli można przypisać mi zasługę odparcia wroga, — zawdzięczam to moim podwładnym. I zaznaczam, panie prezydencie, że wieleby więcej dało się osiągnąć dla ogólnego dobra, ale, niestety, Francja źle jest rządzona i fatalnie administrowana". „Czy zapominasz, generale — miał odpowiedzieć prezydent — iż stoi pan przed najwyższym dostojnikiem państwa?...". A na to Pétain, nie tracąc tupetu: „Właśnie dlatego tak przemawiam, iż wiem, że tylko od pana zależy aby wszystko odmienić".

O ile nie jest wykluczone, że Pétain mógł się zdobyć na taką odpowiedź, to trudno jednak uwierzyć, aby Poincaré miał z niej wyciągnąć ujemne wnioski.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że na podobne koleje losu byłby narażony Foch, gdyby nie interwencja Tygrysa, dzięki której przyszły marszałek został powołany z głuchej prowincji do wyższej szkoły wojennej.

— — — — — — — — — — — — —

Legenda wkradła się za plecami Pétaina i razem z nim weszła do auli Akademji. Ludzie wszakże, którzy zawsze umieli oceniać sprawiedliwie zasługi marszałka, wiedzą, jak ciężką była droga, którą los przeznaczył bohaterowi — od szeregów, poprzez walkę w polu i walkę z intrygą — do najwyższych szczytów i dostojeństw.

Uczciwość i skromność, nieskruszona wola, wiara w zwycięstwo, którą zdołał zaszczepić w najgorszych chwilach zwątpienia, talent wojskowy — oto charakterystyka Pétaina, wodza i wielkiego człowieka. *(j.)*

*) Literatura francuska posiada cenne dzieło z tej dziedziny, pióra Y. N. Cru, które ukazało się w r. 1929 p. t. „Temoins". Rzecz ta wywołała niemało wrzawy.



Marszałek Petain wychodzi z pałacu Akademji Francuskiej. Na drugim planie poeta — Paul Valéry, który wygłosił przemówienie na cześć zwycięzcy z pod Verdun.



Bohaterowie wojny światowej przed uroczystością wręczenia marszałkowi Pétainowi buławy. Stoją więc od lewej ku prawej: marszałkowie Joffre i Foch, gen. Weygand, marszałek Haig, gen. Pershing i marszałek Petain.

MAURYCY DEKOBRA.

Z CYKLU „WĘDRÓWKI PO KALIFORNJI"

W kraju automobilistów

Copyrigh: Agence Littéraire Internationale.

LOS ANGELES W LISTOPADZIE

Trzydzieści tysięcy osób zginęło w Stanach Zjednoczonych pod kołami samochodów w ciągu jednego roku. Liczba rannych jest daleko większa. Parafrazując słynne powiedzenie marszałka Joffre'a, samochód mógłby powtórzyć o nieszczęsnych Amerykanach — „je les grignote" (ja ich dziobię).

A jednak, pomimo tej straszliwej hekatomby ofiar, Stany Zjednoczone, a w szczególności Kalifornja, mogą być poczytywane za raj automobilistów.

Wszystko się składa na to, aby miłośnik kierownicy mógł się tu czuć, jak w raju. Mowa jest, oczywiście, o szczęśliwcach, którzy uniknęli wypadku.

A więc, przedewszystkiem — cena wozów. Za jedne trzydzieści tysięcy franków można nabyć wspaniałą ósemkę. Za ten sam wóz, który w Paryżu kosztuje dwieście tysięcy, płaci się w Stanach sto do stu dwudziestu pięciu tysięcy. Ktokolwiek w Los Angeles chce nabyć wóz okazyjny, może wyjść na Figueroa Avenue, gdzie niezliczona masa samochodów stoi do wyboru. Za czterdzieści dolarów można kupić sześcioletniego Forda! za trzysta dolarów— piękną limuzynkę, która przesłużyła trzy lata najwyżej! Za tysiąc dolarów można sobie zafundować używanego Packarda z r. 1929!

Odpowiecie mi na to, że samochód sam może być tanią rzeczą, a utrzymanie?... Fraszka! Oto kilka cyfr: benzyna kosztuje dwadzieścia centów za czterolitrowy galon, podatki są minimalne, gdyż, przy nabyciu wozu za tysiąc dolarów płaci się zaledwie trzy dolary za zarejestrowanie i pięć proc. od połowy wartości samochodu za pierwszy rok, a po trzech latach dolara rocznie za numer.

Samochód nie jest tu uważany za przedmiot zbytku, lecz za narzędzie do pracy, za rzecz niezbędną, pierwszej potrzeby.

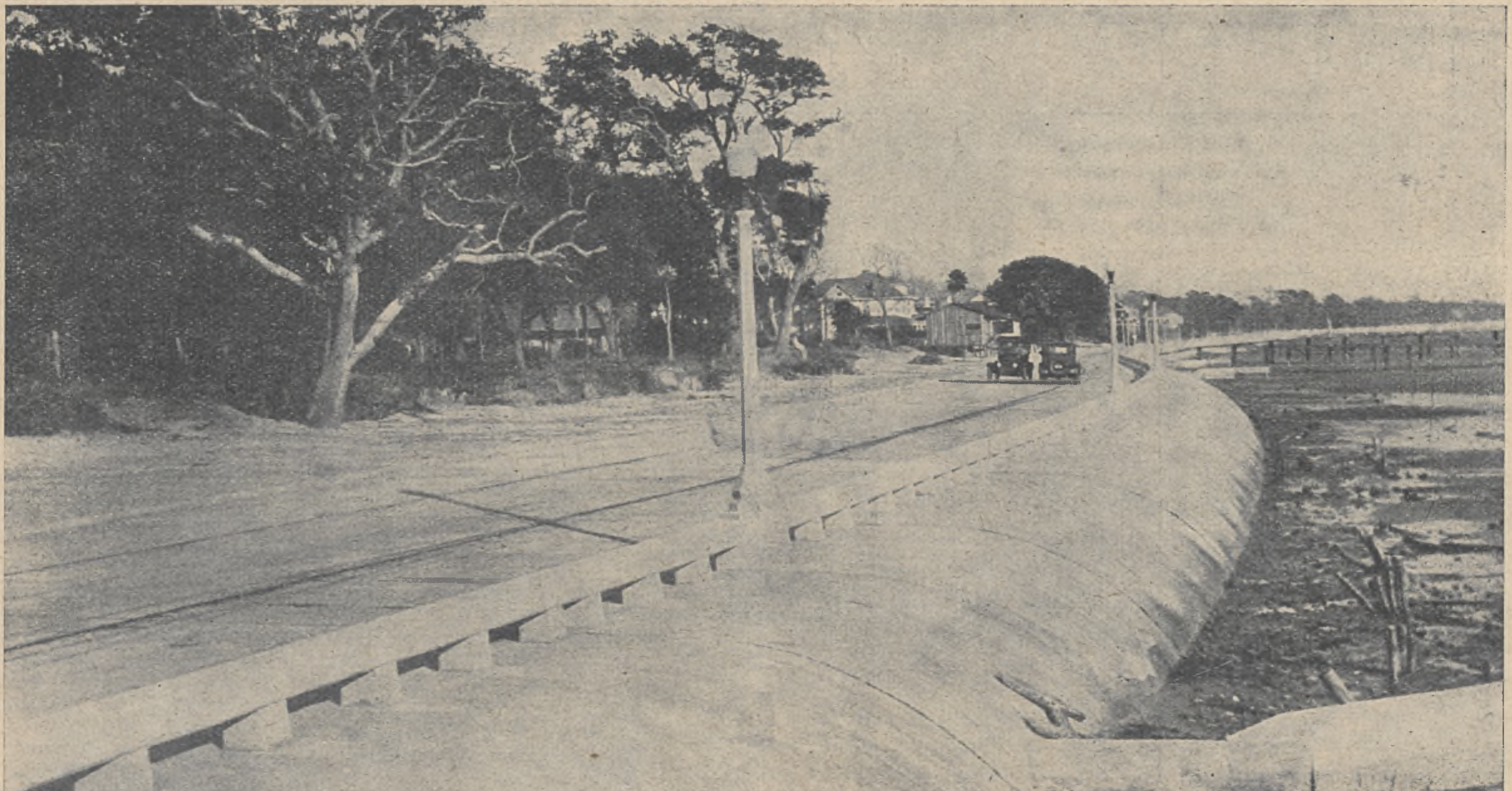
Arab powiada — mój koń, moja kobieta... Kalifornijczyk zaś — moje auto, moja kobieta...



Nieprzerwany wąż aut pełznie przez cały dzień wzdłuż drogi w Santa Monica, w Kalifornji.

*

Jazda w tym kraju jest prawdziwą r o z k o s z ą, gdyż wszystkie drogi są gładkie, niczem stół bilardowy, a proste, jak Pola Elizejskie. W najmniejszych osiedlach ludzkich ustawiono sygnały i niema automobilisty, któryby nie przestrzegał przepisów o ruchu kołowym. Skoro tylko ukaże się sygnał STOP — wszystkie wozy stają i to wówczas nawet, gdy żadna inna maszyna nie idzie naprzeciw jadącego, a co więcej — bez potrzeby ostrzeżenia przez policjanta. Czy to w południe, czy o północy, choćby na drodze nie było żadnego wozu — przystaje się przed sygnałem i rusza, gdy rozlegnie się dzwonek. Automatycznie! Polecam te słowa łaskawej uwadze panów szoferów paryskich! (Autor nie zna miłych naszych „gazowników"! Przyp. tłom.).



W Pascagoula, nad Missisipi, wybudowano wspaniałą betonową jezdnię automobilową, długości dwóch mil angielskich, za cenę 302.000 dolarów.

Prawda, że kierowcę przyłapanego na gorącym uczynku wykroczenia władze karzą z niebywałą surowością. I miłe panie nie doznają żadnych względów. Choćby najsłodszy uśmieszek — nie zdoła rozczulić snujących się w imieniu władzy motocyklistów.

Nie mniej godnem uwagi jest poczucie solidarności, łączące wzajemnie automobilistów. Oto staje ci maszyna na drodze. Starter niedziała, korba nie pomaga. Nie zapala... Nadjeżdża ktoś, pierwszy lepszy nieznajomy i staje. *Want a punch?...* (popchnąć) — woła na wszelki wypadek. Wesoło! Nieproszony! To mówiąc przybija swoją maszynę, popycha, a gdy widzi, że wszystko w porządku — odjeżdża, uprzejmie kiwając ręką. Obie strony są zadowolone — czegoż więcej potrzeba? Na stacjach benzynowych, podobnych, nawiasem mówiąc, do klinik, — taka sama uprzejmość: młodzieniec w białym chałacie, niczem sanitarjusz, napełnia zbiornik, nie czeka, by go o to proszono, lecz sam sprawdza radjator, bada czy nie potrzeba oliwy, wyciera szybę, ściereczka dotyka błotników i żegna najuprzejmiej.

*

Kluby automobilowe oddają swym członkom niebywałe usługi. Oto klub w Kalifornji liczy sto trzydzieści pięć tysięcy członków. Płacą sto dwadzieścia pięć franków wpisowego i trzysta franków rocznej składki. Wzamian za tę minimalną opłatę korzystają z następujących przywilejów:

1-o z obrony prawnej w razie stawania przed sądem;
2-o z kredytu przy opłacie asekuracji;
3-o z pomocy pogotowia technicznego, którego wozy stale kursują po drogach.

Oto przykład: członka klubu spotyka wypadek dajmy na to o osiemdziesiąt kilometrów od Los Angeles. Jeśli wnet nadjedzie wóz pogotowia technicznego — to doskonale, w razie zaś dłuższego postoju wystarczy zatelefonować i niezwłocznie wysyłają pomoc, w wypadku zaś gdy uszkodzeniu nie da się zaradzić na miejscu, odwożą automobilistę do najbliższej stacji kolejowej, a samochód do garażu. I wszystko to — bezpłatnie.

Przekonałem się o uczynności klubu, przy wyrabianiu sobie prawa jazdy. Zameldowałem się nieco zaniepokojony na myśl o tych trudnościach, jakie mi się nastręczą i o niezliczonych kłopotach, na jakie w podobnych wypadkach zwykle bywa narażony cudzoziemiec we wszystkich niemal krajach na świecie. Podsunięto mi zwyczajny arkusz papieru. Wypisałem podanie. Zadano mi kilkanaście pytań, na które trzeba było odpowiedzieć pisemnie — lakonicznem tak lub nie. Kilka z nich wprawdzie było nieco haczykowatych, jak naprzykład:

Wolno zatrzymać się przed chodnikiem, na którym widnieje czerwony szlak.

Na podobną herezję należało oczywiście odpowiedzieć przecząco. Albo co innego:

Można skręcić na lewo, kiedy ukaże się sygnał STOP.

Co również jest pułapką, gdyż skręcić można tylko w tym wypadku, jeśli ukaże się światło zielone.

Wypełniłem kwestjonarjusz, poczem przedstawiłem dowód zameldowania w Hollywoodzie — a w pięć dni później otrzymałem przez pocztę prawo jazdy.

Wszystko to nie kosztowało mnie ani jednego centa i zajęło mi dziesięć minut czasu.

O szczęśliwa Ameryko, w której nie marnuje się czasu, ani nie zaprząta głowy legalizacjami, zaświadczeniami — i nie traci się pieniędzy na opłaty stemplowe. Nie zaznasz tam rozkoszy chodzenia od biura do biura, ani żadnych szykan, które łagodne jagnię nawet zamienić mogą w wilka.

Uwagę tę pozwalam sobie skierować pod adresem szanownych naszych władz administracyjnych.



Miami, stolica letnich wywczasów miljarderów i gwiazd filmowych, w ciekawy sposób rozwiązała kwestję postoju samochodów prywatnych.

Nie dziwię się jednak, że wszyscy w Ameryce kornie schylają czoła przed potęgą koni parowych samochodu.

Bo jakżeby mógł sobie poradzić mieszkaniec Stanów, gdyby go pozbawiono tego środka lokomocji? Żyć już nie mogą bez auta, które przestało być luksusem, skoro w przeciągu 14-tu lat skala zarobków wzrosła zaledwie o 225%, zapotrzebowanie zaś na samochody — o 475%. Dodać tu wypada, że conajmniej 25% samochodów należy do ludności rolniczej, drobnych farmerów, którzyby doprawdy poważnie odczuli tę stratę, jak również i ogół konsumentów, gdyż rozwiązanie sprawy transportów płodów rolnych samochodami, obniżyło cenę produktów o 50%.

Coby zrobiono z czterema miljonami bezrobotnych, gdyby zamknięto podwoje fabryk samochodowych, nie mówiąc już o losie pewnych miast, które rozrost swój zawdzięczają wyłącznie temu przemysłowi. Oto naprzykład — Detroit, liczące przed kilkunastu laty 280.000 mieszkańców, stało się dziś półtoramiljonowem niemal miastem. A Lansing, Flit, Michigan i wiele innych miast, które posiadały zaledwie po 30 — 40.000 mieszkańców, a obecnie do 700.000?

Pozostawmy wszakże te rozmyślania poważnym ekonomistom. Niech się głowią. Dodam tu jedno, o czem z pewnością zapomną pomyśleć — iż brak samochodów spowodowałby niechybnie... kryzys miłości. A to już, doprawdy, byłoby kataklizmem! Bo proszę sobie wyobrazić, gdzie zakochane pary mogłyby szukać schronienia przed czujnem okiem straży, wzbraniającej im wstępu do hoteli. Gdzieby się podziały te niezliczone masy zakochanych, snujących się co wieczór po drogach, miłośnie przytulone do siebie, w dyskretnych autach. Miasta nawet straciłyby swój charakter i nie wyobrażam sobie, jakby, naprzykład, wyglądała plaża Santa Monica (pod Los Angeles), gdzie w świetle księżyca błyszczy co wieczór długi wąż samochodów, zatrzymanych nad brzegiem drogi, ze spuszczonemi firankami...

Opustoszałoby wszystko, życie by zamarło i Stany Zjednoczone niczem nie różniłyby się od Syberji — gdyby wprowadzono na samochody prohibicję...



Jegomość, który jest gotów ofiarować swoje koło zapasowe turystycznemu autocarowi.
(The magazin).

MIECZYSŁAW JAROSŁAWSKI.

Koai — córka Kwanju

LEGENDA CHIŃSKA.

W końcu pokręconej uliczki, tatarskiej dzielnicy Pekinu, stała chatynka, sklecona z drzewa. Chatka ta, której przednia ściana służyła za wejście, opatrzona była szyldem:

Dziad, pradziad i ojciec
Czing-Kwanju
służyli dobrej sprawie
Kwanju naśladuje bogi.

Zgodnie z tą zapowiedzią, właściciel chatki posiadał tu zakład giserski, w którym już od lat niepamiętnych odlewał figurki bogów, zwierząt i znakomitych zmarłych. Wiele też takich figurek stało na półkach naokoło ścian nawpół ciemnej wnęki, po środku której wznosił się obszerny, glazurowanemi kaflami wyłożony piec, z wmocowanemi w jego powierzchnię kotłami dla stopów. O tem, że figurki Kwanju miały nietylko znaczenie dekoracyjne, wiedziała zarówno dzielnica rzemieślnicza, w której Kwanju cieszył się zasłużonem poważaniem, jak i cały Peikn a nawet Szanghaj, Kanton i Hongkong.

Ten i ów z przechodzących zatrzymywał się często koło warsztatu Kwanju i, opowiadając mu nowiny miejskie, zachwycał się, jak przystało na przyjaciela, wyrobami gisera.

Do codziennych gości wieczornych należał przedewszystkiem młody chłopiec, Feng Yuan.

— Kwanju! — zagadnął dzisiaj. — Wszak to, o czem zrobisz w tej chwili, to amulet?

— Dobrześ rzekł, kochany Feng Yuan, jest to amulet — odparł równym głosem Kwanju. I nie podnosił zaczerwienionych oczu z ponad warsztatu.

Feng Yuan chciał najwyraźniej pytać dalej, musiał jednak zachować pewien dystans czasu pomiędzy pytaniami. Kiedy taki czas nadszedł, Kwanju dał znać lekkiem westchnieniem. Wtedy Feng Yuan spytał:

— Amulet jest rzeczą skuteczną?

Kwanju podniósł tym razem na młodzieńca popuchnięte oczy, pomyślał dłuższą chwilę i odparł:

— Nie mylisz się, kochany Feng Yuan, amulet jest rzeczą skuteczną.

I znów pogrążył się w swej pracy, gdyż uważał, że wstęp do rozmowy został już wyczerpany, a na następne pytania młodzieńcowi należało pozostawić wiele czasu.

I znów minęła dłuższa chwila, zanim Kwanju odezwał się zachęcająco:

— Zapewne nie zapytałeś się jeszcze o to, kochany Feng Yuan, o coś chciał się spytać. Możesz zatem już pytać. Jestem dobrze dziś usposobiony do udzielenia ci wyczerpujących odpowiedzi, albowiem skończyłem właśnie żmudną pracę dla jednego dostojnego mandaryna. Człowieka tego nie kochała jego żona, teraz kochać go będzie.

Feng Yuan, ośmielony w ten sposób, zagadnął już wprost:

— Wiem, że umiesz, Kwanju, przygotowywać amulety i dla tych, którzy pragną, żeby pokochała ich młoda dziewczyna...

— Młodzi ludzie, przytem ludzie urodziwi i pracowici, nie potrzebują takich kosztownych amuletów — odparł karcąco giser.

— Nie wiesz, Kwanju...

— Wiem, Feng Yuan.

I znów zaległo długie milczenie, którego nie śmiał przerwać młody kulis, Kwanju, jak i poprzednim razem, dodał mu odwagi.

— Zarobiłeś dziś znów wiele, Feng Yuan?

— Wszystko umiesz czytać w oczach, Kwanju. Istotnie, zarobiłem dzisiaj wiele. Pewien bogaty amerykanin, którego obwoziłem przez pół dnia w mojej rikszy, po starej dzielnicy tatarskiego miasta, dał mi wiele, wiele dolarów.

— I dodał, połykając nieśmiało słowa: — Gdyby tak poszło dalej, mógłbym już sobie kupić żonę.

Kwanju uśmiechnął się dobrotliwie.

Feng Yuan skorzystał z tego i szybko zapytał:

— Czy córka twoja, Koai, nadejdzie już prędko?

— Dość jeszcze prędko, abyś jej zdążył o tem powiedzieć.

— Nic się przed twoim wzrokiem ukryć nie może, Kwanju. Mnie pożera, ją jednak — nie. Dlatego więc chciałem cię prosić, abyś mi przygotował skuteczny amulet miłości, a chętnie ci oddam całą dzisiaj zarobioną sumę.

Kwanju podniósł głowę i odłożył swoją robotę. Świadczyło to najwyraźniej, że miał teraz powiedzieć coś nieskończenie mądrego.

— Najlepszym amuletem miłości jest dobre serce, Feng Yuan — poważnie zaczął Kwanju, przeczekał chwilę i zakończył tak: — A myślę, że ty je masz, Feng Yuan.

— Czyli, jeśli ośmieliłem się dobrze cię zrozumieć, wierzysz w miłość Koai dla mnie?

— Jestem jej pewien.

— Jakże to być może, jeżeli ciebie kocha ponad wszystko, Kwanju?

— Są dwa rodzaje miłości, młodzieńcze.

— Miłość dla rodziców zawsze jest większa — szepnął Feng.

— Wszak nie myślisz, że powinno być inaczej? Takie są bowiem nakazy Konfucjusza.

Feng Yuan, zawstydzony, cofnął się w siebie bez odpowiedzi.

Szczęściem dla niego, w tej chwili do warsztatu Kwanju zbliżyli się dwaj mandaryni, mający wielkie, czerwone korale na stożkowatych czapkach. Spostrzegł ich Kwanju natychmiast, porzucił więc pracę i wysunął się na ich spotkanie, niskie czyniąc pokłony.

— Człowieku szczęśliwy! — zaczął jeden z dostojnych gości. — Oto oko Syna Nieba raczy spocząć na twojej osobie, bo ucho Syna Słońca już raczyło usłyszeć o twojem imieniu i czynach. Cesarz nasz, nieporównany Yonglu...

W tem miejscu dostojny mandaryn wydął usta naprzód, aby zaznaczyć tem, jak wielkie słowa przeszły przez nie.

— Syn Nieba — dodał drugi mandaryn — upatrzył sobie ciebie i chce, abyś mu odlał dzwon o takiej sile, żeby głos jego słyszany był na tamtym świecie, a o takiej również własności, żeby obudził serce jednej młodej dziewczyny, która jest mu jeszcze obojętna.

Skończywszy, podniósł natychmiast obydwa wskazujące palce wyżej własnego nosa, aby tem dowieść swemu rywalowi w poselstwie, że powiedzenie jego bardziej było doniosłe.

Pierwszy mandaryn nie pozostał jednak dłużny, bo, zsunąwszy stożkowatą czapeczkę na czoło, sięgnął koniuszczkami palców do podstawy przyczepionego do środka łysiny czarnego warkocza i, unosząc na znak swej wyższości, sztorcem w górę, wyrzekł te miodopłynne słowa:



— I za ten drobiazg nie ominie cię łaska Syna słońca!

— Pójdź z nami — rzekli obaj, — a wielki władca Chin własnemi usty o tem ci powie...

Kwanju podreptał natychmiast za mandarynami.

Nie długo już teraz czekał Feng Yuan. Wkrótce nadeszła Koai.

— Witaj mi, pąku róży białej — skłonił się wzruszony Feng Yuan.

Koai zapytała o ojca, a dowiedziawszy się, że udał się na dwór cesarski, zasmuciła się.

— Czemuż to liczka twoje pokryła troska, konwaljo najcudniejsza?

— Nie dobrze to jest, jeżeli biednych ludzi zaszczycają bogaci i możni.

— Wszak ojciec twój zarobi bardzo wiele...

— Czyż bogactwo jest szczęściem? — smutnie odparła Koai. — Myślę, że szczęście jest w spokoju i w miłości.

— Jeżeli tak mniemasz, Koai, czy nie mógłbym prosić cię chociaż o skrawek takiego szczęścia?

— Wszak masz je, kochany Feng... — rzekła.

Feng Yuan ze wzruszeniem szybko zamrugał powiekami i długo mówić nie mógł. Siedzieli tak, pogrążeni w błogości, wsłuchując się w ciszę nocy, aż nadszedł stary Kwanju. Twarz jego wyrażała głęboki smutek.

— Co ci, ojcze? Przeczuwałam coś złego...

— Nie omyliłaś się, najdroższa moja córko. Syn Nieba kazał mi bowiem zrobić rzecz taką, na którą ważyć się mogą tylko bogowie.

— Nie martw się. Bogowie, którzy nas miłują, pomogą nam — spokojnie odparła Koai.

— Muszę najpierw jednak pożyczyć wiele pieniędzy na odlew dzwonu dla cesarza — martwił się Kwanju i zbierał się już, aby pójść do lichwiarzy. Wtedy powstał Feng Yuan.

— Oto miałem pieniądze, zebrane na założenie dla mnie i Koai nowego ogniska, ale skoro ci potrzebne, Kwanju...

— Jest to już wiele, ale... nie wszystko.

— Jutro i pojutrze będę miał więcej.

— Potrzeba mi czegoś więcej, niż pieniędzy. Cesarz Yonglu powiedział mi, że obsypie mnie złotem, jeżeli mu uczynię dzwon skuteczny. Jeżeli będzie zły, włożą mi deskę kwadratową na szyję i stracę twarz*) na ulicach Pekinu.

Koai jęknęła ciężko.

— Nie obawiaj się tego, Kwanju; w razie potrzeby ja oddam twarz swoją za ciebie — zapewniał go Feng Yuan — bo Koai wszak oddała mi serce swoje gołębie.

— Nie, Feng, cesarz nie pozwoli na wykup, a odlew muszę zrobić w przeciągu trzech dni...

Długo jeszcze siedzieli we troje, od czasu do czasu ciężko wzdychając. Pierwszy dzień próby odlewu wypadł niepomyślnie. Dzwon miał dźwięk głuchy. Kwanju zrobił nowy stop — powtórzyło się to samo. Mandaryni i pospólstwo poczęli już kiwać niedowierzająco głowami. Tłumy przed chatą Kwanju zbierały się coraz liczniejsze. Głęboko zamyślił się Kwanju przed przygotowaniem trzeciego stopu. Z trwogą widział już siebie na ulicach Pekinu, zakutego w kwadratową deskę, a strapiona Koai poszła szukać rady do wróżbity, który jednak powiedział jej rzecz straszną.

Koai na wszystko była gotowa.

Dnia następnego w pracowni Kwanju zjawili się wysłańcy Syna Nieba z oznajmieniem, że najwyższy władca Chin, dowiedziawszy się o nieudanych próbach gisera, wpadł w gniew srogi i postanowił ściąć mu głowę, jeżeli trzecia próba się nie uda.

— Odpowiedzcie Synowi Nieba, że będzie miał dziś albo dzwon, albo głowę moją — spokojnie odparł Kwanju i zabrał się do roboty.

Koai cicho płakała. A tłum, żądny wrażeń, zbierał się coraz liczniej wokoło chaty Kwanju, by ujrzeć dzwon, lub okrwawioną głowę starca.

— Kochany Feng! — rzekła córka Koai — czy wierzysz w talizmany?

— Wszak twój ojciec w nie wierzy, a zatem i ty w nie wierzysz; niema więc powodu, abym ja w nie wierzył.

— Wiedziałam, że tak odpowiesz — uśmiechnęła się radośnie młoda dziewczyna. — Słuchaj więc, co ci powiem. Powiedział wróżbita Ting-Lung-Su: — aby talizman dla Syna Nieba był skuteczny, musi w nim być krew niewinnej dziewczyny.

Feng Yuan opuści głowę i ciężko jęknął.

*) W Chinach istniał zwyczaj pręgierzowania.

(Dokończenie na str. 130).

LEOPOLD MARSCHAK.

W Warszawskiem Muzeum Policyjnem

Nie jest to żadne Muzeum Osobliwości, ani panopticum grozy, obliczone na niewybredną, a szukającą wrażeń, publiczność. Ale też — nie jest nudnym, niepociągającym oczu, zbiorem wykresów i schematów. Warszawskie Muzeum Policyjne, acz bardzo oszczędnie poczęte i skromnie rozlokowane w kilku odrestaurowanych salach gmachu Komendy Głównej, jest instytucją nawskroś oryginalną i nieszablonową, łączy bowiem — pożytek z wrażeniem...

Przeciętny warszawianin zrazu dziwnie się czuje pośród ścian, z których jedna ozdobiona jest rynsztunkiem włamywacza, przy drugiej wiszą strzelby o spiłowanych lufach — broń bandycka; ale, już po krótkim pobycie w takiej atmosferze człek się z nią zżywa, a po wyjściu z Muzeum — nic nie jest dla niego tajemnicą: ani „szpryng", ani „żaba", ani mikrofotografja! Muzeum Policyjne, choć skromnie jeszcze wyposażone — należycie spełnia swe zadania: uświadomienia społeczeństwa o noowczesnych metodach walki z przestępstwem, a zarazem — ostrzeżenia przed niem — słowem — coś w rodzaju „akcji profilaktycznej"!

Oto np., proszę państwa, na ścianie widzimy parasol, obok zaś — drabinkę sznurową, świdry i łomy. Laik gotów pomyśleć: „Dziwni ludzie ci włamywacze! Zakrywa się parasolem, żeby go nie widzieli!" Tymczasem, jak uczy Muzeum, parasol — to również narzędzie, służące do zbierania gruzu z wyłomów! Albo taki namiot: piękn, czarny, ceratowy — zajmuje niemal połowę ściany, obok butli tlenowych, potężnych raków i nożyc. Do czego służy? Ano — postawmy się w położeniu kasiarza: „pracuje" w jakimś banku czy biurze. Światła zgaszone. Nie należy budzić niczyjej uwagi; odbicie światła w oknie gotowe sprowadzić policję. A tu tlen! Płomień silny, topi pancerz, jak stearynę — tylko niepotrzebnie jasno się świeci. Bierze więc kasiarz namiot, nakrywa takim „abażurem" kasę wraz z sobą i wówczas „pracuje" bez obawy...

Piękny i obfity jest wybór wytrychów; napewno niejeden z warszawskich „mieszkaniowców" wieleby dał za tak kompletny zbiorek. Bo też i jest dosłownie wszystko, co w zakres techniki złodziejskiej wchodzi: „kozia stópka" — podłużny kawałek drutu, otwierający najbardziej skomplikowane zamki, wytrychy wielkie i malutkie wytryszki, wreszcie „żaba"... Państwo, zapewne, przypuszczają, że skoro się klucz pozostawia w zamku, to złodziej drzwi nie otworzy? Absurd. „Żaba" włazi do dziurki z drugiej strony, chwyta klucz za koniec, przekręca, no i... drzwi są otwarte!

Do otwierania zamków t. zw. amerykańskich zamiast wytrycha — używane jest... dłutko! Do łańcuchów — otwór w drzwiach. Słowem—niema tak zabezpieczonej fortecy domowej, którejnie podjąłby się zdobyć noowczesny złodziej. Chyba że w domu jest... poczciwy, czujny piesek!

W kącie pod oknem stoi coś, co z wyglądu przypomina trochę maszynę Singera, a trochę drukarski pedał. Przyjrzyjmy się bliżej: ho! ho! Toć to warsztat fabrykowania monet! Leży tu ich sporo — pięćdziesięciogroszówki, odbite z jednej, znajdującej się na maszynie sztancy. Stop — w łyżeczce, formy — gipsowe. Maszyna złodziejskiego „alchemika" działa wcale nieźle: 30 złotych można „wyprodukować" w ciągu pięciu minut. Gdyby tak ludziom pozwolono przy takim warsztacie pracować — czy istniałby wówczas ośmiogodzinny dzień pracy?!!!

Czego tacy nie podrobią?

W kąciku — w oszklonej szafce, leży mała, zwykła, czarna, książeczka do nabożeństwa. Skąd się tu wzięła? Spójrzcie na grzbiet książeczki; jest w nim misternie ukryta malutka piłeczka do przecinania krat. Ktoś przesłał tę książeczkę więźniowi, aby mógł w ciszy i spokoju modlić się o zbawienie duszy i.... ciała!

Obok książeczki — znajdujemy białą tabliczkę w formie tarczy na żelaznym łańcuszku; na tarczy wyryte są jakieś tajemnicze znaki i litery.

— Co to jest?

— Amulet bandyty! — tłomaczy uprzejmie kustosz Muzeum, aspirant Gałka. — Amulet, który przecież nie uchroni swego właściciela od śmierci...

Osobne, a poczesne miejsce w Muzeum zajmuje broń... Nie taka zwykła, co dzień widywana, jak karabin, rewolwer, nagan, czy bagnet, lecz mordercza broń, ukryta misternie w lasce, czy w kiju. Oto np. stylowa ciupaga, ozdobiona z wierzchu węgierskiemi monetami, „nadziewana" zaś — sztyletem! Oto elegancka metalowa laseczka ze zgrabną rączką. Jeden ruch, zrzucenie skówki i spacerowa laseczka przeistacza się w... karabin szybkostrzelny! Oto np. fuzja kłusownicza; gdzie? w tym sękatym kiju, który wcale a wcale podejrzanie nie wygląda... Wiele innych jeszcze tajemnic kryją w sobie porozkładane na stołach muzealnych laski, laseczki i parasole — lepiej się z taką laską na wolności — nie spotkać...

Ciekawie przedstawia się historyczny zarys formowania policji w Niepodległej Polsce. W roku 1919 mieliśmy w kraju 8 organizacyj bezpieczeństwa, w nich — *58.103* ludzi, a dziś — mamy tylko policję państwową, granatową armję, liczącą tylko *34.000* rycerzy, ale armję nawskroś nowoczesną, wyposażoną we wszystkie zdobycze techniki wojennej, zbrojną w pancerze, tarcze, granaty, gazy, czołgi, tanki, hełmy i... blockhauzy na kresach wschodnich. To też, gdy człowiek znajduje się w Muzeum Policji Polskiej, gdy z dumą dowiaduje się o coraz to nowych postępach na polu organizacji służby bezpieczeństwa — dziwnie z tem kontrastuje pożółkły nieco ton „Gazety Policyjnej Warszawskiej z roku 1863. Oto, co w nim znajdujemy:

Z gubernji warszawskiej

Podług otrzymanych z Piotrkowa wiadomości, *bandy*, dowodzone przez Chmielińskiego i Bosaka, pod Szczekocinami, zniszczone zostały przez fligeladjutanta pułk. Własowa; urzędowego wszakże o tem doniesienia jeszcze nie otrzymano.

Oddział kozacki, wysłany z Częstochowy, schwytał Rzepeckiego, dowodzącego konnicą w *bandzie* Chmielińskiego, Michalskiego, byłego oficera piechoty i kilka innych osób. Po zniszczeniu *band* Okuniewskiego, Putkowicza i Grossmana, *bandy* te stanowczo rozpierzchły się, dowódcy zaś umknęli zagranicę, skutkiem czego w powiatach gostyńskim i włocławskim rzadko gdzie napotykają się tylko jeszcze gromadki *żandarmów wieszających*, najwyżej z 20-tu ludzi złożone, przeciw którym przedsięwzięto środki.



Wnętrze Muzeum Policyjnego w Warszawie.



Czułkowa noga pajęczaka.

Miłość, pokój i wojna w świetle zwierząt

MIŁOŚĆ I SKORPIONY.

Tak wiele i tak mało wiemy o miłości, mimo filozoficznego cynizmu Pitigrilliego, który postarał się zdyskwalifikować i sprowadzić wszystkie elementy uczuć miłosnych do małej sprawy błon śluzowych, że trzeba się zbroić w sporą dozę odwagi, by opowiedzieć coś o „kochaniu" w naturze, a w dodatku, idąc śladami genjalnego Fabra, opisać miłość skorpionów.

Niechaj więc dalszy ciąg tego artykuliku usprawiedliwi mój wybór zwierzęcia, które budzi nasze obawy, którem nauczyliśmy się pogardzać dla tysiąca przesądów, dla tuzina przesłanek estetyczno-moralnych, jakby nasze kryterja estetyczne, często równie fałszywe, jak nasze nastawienia psychiczne miały doprawdy znaczenie, w nieogarnionym i małopoznanym świecie stworzenia.

Spójrzmy więc nowemi oczami na naszego bohatera, skorpiona afrykańskiego, jadowitego i groźnego kuzyna licznych, nieszkodliwych dla ludzi, niedźwiadków europejskich. Nie przeczę, że jego postać może wzbudzić strach i odrazę, natura tworząc go — z gruba ten „twór" ociosała.

Ten samotnik o tajemniczych obyczajach jest niezbyt przystępny i niełatwo zdradza swe tajemnice. Zaiste zbyt groźnie wyciąga przed siebie swe potężne lewary chwytnych nogoszczy i wypręża zaodwłok, podobny do bud dyjskiego różańca. Ten ogon, narzędzie pieszczot i śmierci, zadarty do góry, połyskuje straszliwym i ostrym kolcem, związanym z gruczołem jadowym, którego wydzielina jest zabójcza u tego osobnika.

By użyć swej broni, skorpion musi ją podnieść, odwrócić i zadać niesamowity cios z dołu do góry w zdobycz, lub wroga, przytrzymywanego kleszczami.

Nie dziwimy się wcale, że ten niesamowity wygląd stworzenia od prawieków pobudzał ludzką wyobraźnię, że uczciła go nawet na niebie w postaci grupy gwiazd, a w kalendarzu uczyniła symbolem października, oznaczając nim ósmy znak Zodjaku, rządzony przez Marsa i związany z wodą.

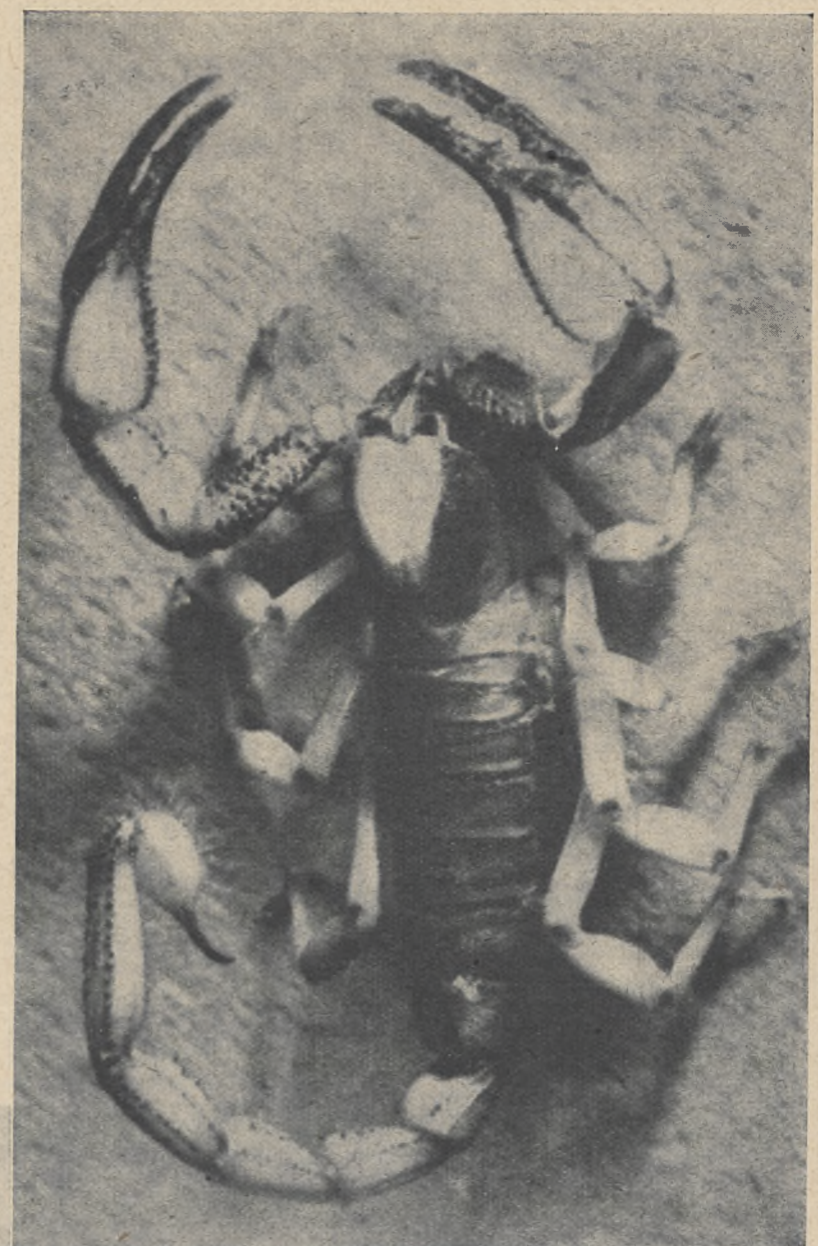
Reprezentuje w języku astrologów zawziętość i pychę, dążenie do potęgi i władzy. W starożytności ze znakiem tym łączono ryty faliczne i misterja, a symbolizowano Pokusę i Śmierć, zdolność do ofiar i do nikczemności.

Łączy więc w sobie i kojarzy sprzeczności, składa się z samych zaprzeczeń i taką jest właśnie jego miłość.

Jej czas to wiosna, rozkoszne, ciche księżycowe noce, wysycone balsamem pękających pąków, obrzmiałe żywicą i sokiem wczesnego kwiecia.

Na oświetlonych zielonkawą poświatą księżyca, zgładzonych łupkach skalistych zbierają się potworne cienie samotników, by tu, w miesięcznej jasności, oddać się pijaństwu kochania, zalotów i uświęconemu rytuałowi ślubu.

Zadziwia zwinność tych opancerzonych, sękatych postaci, które gorączkowo szukają się wzajemnie. Oto samczyk, zwykle mniejszy i zwinniejszy, zetknął się na chwilę kleszczami z większą i cięższą samiczką, lecz oboje, jakby przerażone i zawstydzone cudem pierwszego zetknięcia, umykają zalęknione, by śpiesznie ukryć się w cieniu, nabrać odwagi i znowu powrócić w zaczarowane, magnetyczne kolisko światła.



Skorpion — samiec.

Lecz oto stało się — odważniejszy oblubieniec wyróżnił wybrankę w zalotnej i biernej gromadzie samiczek, więc rozpoczyna zachody miłosne. Musi być męski, rycerski i zwinny, w oczach najmilszej stoczy bój z rywalami, walkę wszystkich przeciwko wszystkim, aby wiedziała, aby oddała swe serce i kleszcze.

Zwycięski stanął już przed nią i wparł w nią swą potworną (jakże piękną dla niej) nieruchomą głowę i jednym, nieoczekiwanym zamachem, wystrzelił pionową wieżycą odwłoka ku niebu. Tak trwał przed nią sztywny i wielki, stojąc „dęba", co znaczy, że ją pragnie i wzywa, gdyż takie jest objawienie tej niezwykłej figury miłosnej.

Lecz ona jest pełna jeszcze wahania i niepewności, czyż można odrazu zaufać mężczyźnie, on jednak zdążył ją chwycić za kleszcze i trzyma ją, niby zakochany za dłonie. Znieruchomieli w zachwycie.

Jeszcze drgnęła, ale nie może się bronić i mimowoli zwija ogon pieszczotliwie, a on trzyma ją coraz mocniej, goręcej i nagle straszne, śmiertelne ogony zetknęły się ponad niemi, głaszcząc się pieszczotliwie i miękko. Jakże słodka musi być ta pie-



Samica skorpiona.

szczota, jeśli trwa długo, bardzo długo. On jednak nie myśli na tem poprzestać, wciąż trzymając ją za kleszcze, tyłem posuwając się ku przodowi, pociąga samicę za sobą, a ona, pokorna i zgodna, idzie za panem i rycerzem. Przecież, jak para oszalałych w miłości kochanków, zatrzymują się ustawicznie, ich czoła się chylą ku sobie, małe przednie różki drgają w gorączkowej pieszczocie, a głowy zwierają wielokrotnie. Jeżeli gołębie stworzyły pocałunek, powiada Fabre, to skorpiony były ich poprzednikami.

Gdy ich spotyka wtedy jakiś samotny włóczęga, świadomy drażliwości momentu, usuwa się natychmiast im z drogi — wszak są zakochani. A oni, jakby przedłużając szczęście tego obcowania, wędrują sobie powoli i cudnie w czarownem świetle nocy.

On jednak, bardziej niecierpliwy i namiętny, wykrył ukosem spojrzenia gdzieś w skale zaciszną szczelinę, więc pierwszy się do niej wsuwa, nie puszczając ani na chwilę kochanki, chociażby wypadło przez gorączkową pracę nóżek pogłębić zbyt ciasną i brzydką małżeńską komnatę.

Gdy przejście utorował zupełnie, wsuwa się do szczeliny i ciągnie tam siłą towarzyszkę, która, w przystępie dziewiczego wstydu, opiera się i broni, prężąc swe nóżki i zarywając je w ziemię.

Samiczka skorpiona nie jest zbyt łatwą zdobyczą, lecz czemże byłby akt cały, gdyby pozbawić go uroku tej sceny, która więc nie jest pomysłem ludzkiej pruderji, lecz przyrodzonym strachem i wstydem przed nowem i nieznanem dziewicy.

Uparty uwodziciel poczyna sobie tak zręcznie i czule, że miła ulega i wchodzi, czasami jednak ucieka, widocznie nie ten był jej przeznaczony.

Lecz, gdy zostaje po szaleństwie nocy miłosnej w domu małżonka, to pierwsze słoneczne promienie oświetlą ponure widowisko — żona spokojnie pożera męża. Nieszczęsny znalazł tej nocy rozkosz i śmierć. Spełnił z honorem swą rolę, nie jest już więcej zupełnie potrzebny dla zachowania gatunku, jest weselną potrawą swej czułej kochanki, małżonki, wdowy i matki jego potomstwa, w imię przyszłości którego ofiaruje swe życie. Zrozumieliśmy, że miłość i śmierć dla skorpiona to jedno, lecz miłość mocniejsza od śmierci.

Czem są więc nasze misterja i tajemnice miłosne wobec tej namiętności i rytuału, którego ludzkie poczynania są tylko ewolucyjnym następstwem, a nasze formy i sztuka są tylko partackim naśladownictwem.

M. Ch.



Z salonu najmłodszych

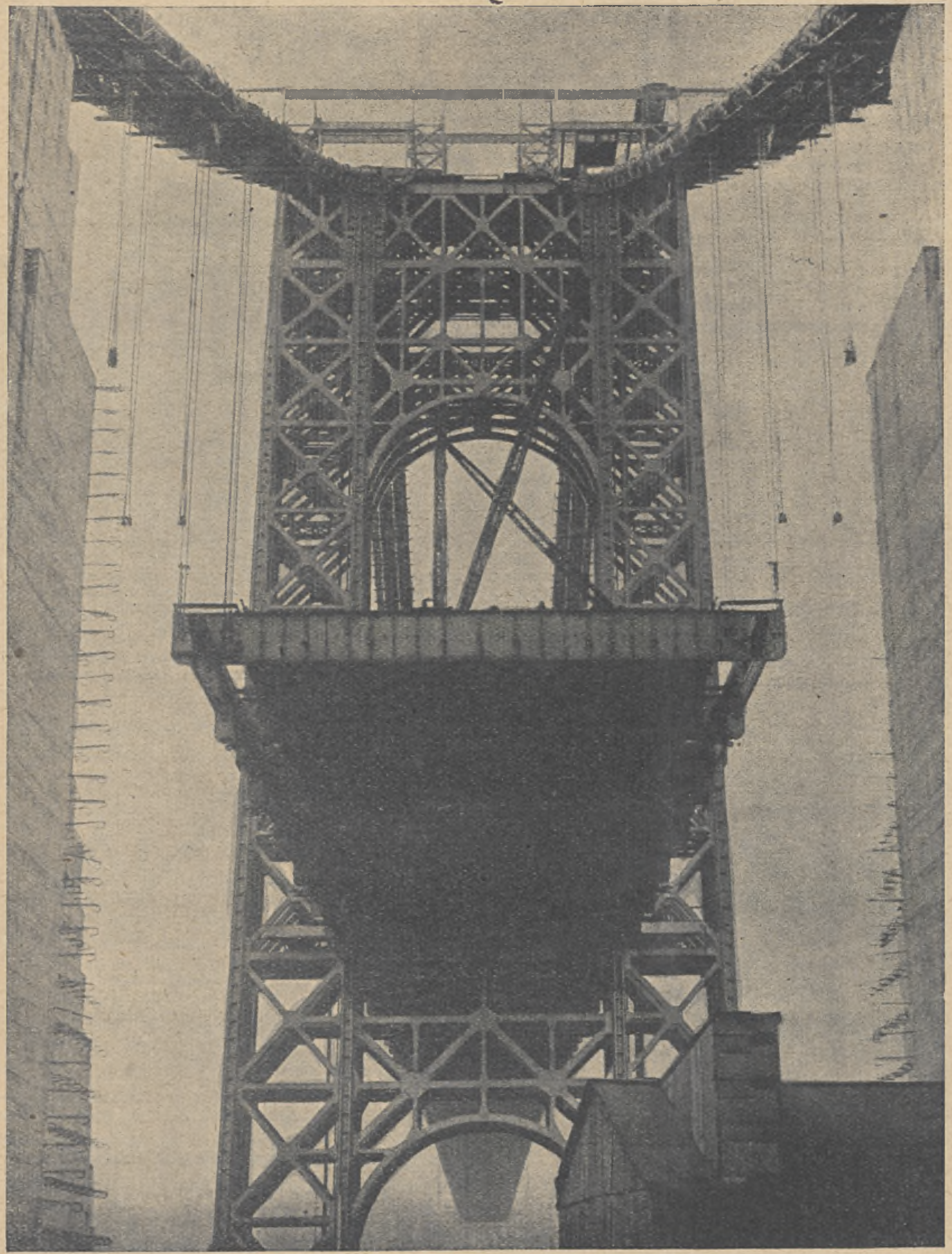
Wystawione w Paryżu dzieła najmłodszych — „des moins de quinze ans", mają wyraźnie sielankową tendencję. Malcy marzą o domku wśród drzew, nad wodą — byleby dalej od wielkich metropolij. Czyżby już instynktownie czuli się zmęczeni?...

Czy zauważyliście może, iż dziecko, zanim zacznie pisać — już dawno rysuje? Że już w najmłodszym wieku chwyta w niezdarne paluszki ołówek i usiłuje narysować „pana" lub domek, ulubionego pieska, kurkę, motylka — słowem wszystko to, co je otacza? Czy zauważyliście pozatem, iż dziecko wkłada w tę prymitywną sztukę masę zdumiewającego realizmu, świadczącego o instynktownie budzącym się zmyśle spostrzegawczości. Oto, naprzykład, rysując samochód — nie zapomina ani o latarniach — i to obu, nawet jeśli rysunek jest ujęty z profilu — ani o klamce przy drzwiczkach, o klaksonie, o kole zapasowem i t. d. Dziecko rysuje nie tylko to, co widzi przed sobą, lecz pragnie również przenieść na papier wyobrażenie o olbrzymie z bajki, o smoku, o krasnoludkach... A gdy zadamy im określony temat, potrafią doprawdy wprawić nas w zdumienie przedziwną ekspresją, podobną do najwcześniejszego prymitywu lub do współczesnego folkloru. Dziecko rysować umie, interesuje się sztuką, a jeśli w późniejszym wieku zaniedbuje się — to winę przypisać należy złemu kierunkowi, który mu nadano w szkole.

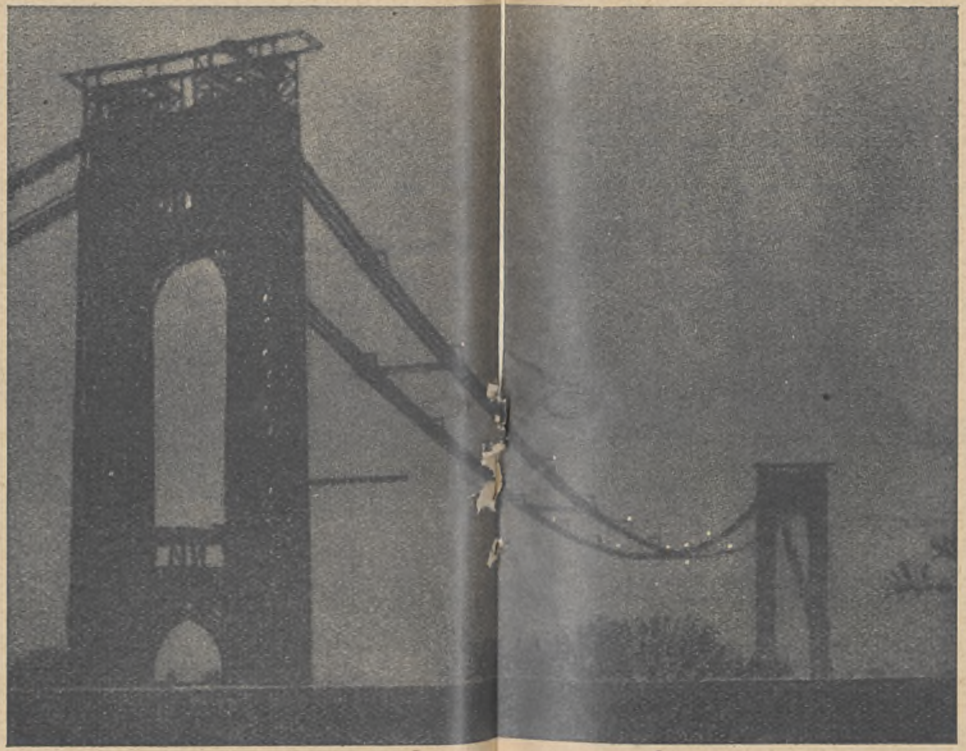
Ciekawą inicjatywę w tym względzie przeprowadza stowarzyszenie paryskie, znane pod nazwą „Le Foyer Enfance et Jeunesse", urządzając co roku wystawy prac, zadanych dzieciom na pewien określony temat. W tym roku postarano się zebrać materjały, dotyczące „wymarzonego domu". Wynik tego konkursu był niezmiernie ciekawy, gdyż można było stwierdzić, iż żadne z dzieci nie interesowało się współczesnym drapaczem chmur, lecz przeciwnie—domkiem wiejskim, chatyną, otoczoną drzewkami, przed którą znalazło się miejsce i dla pieska, i dla kotka,, i dla kurek — słowem, dla całego światka, będącego istotnie przedmiotem marzeń najmłodszych — ich ukochaniem.

Kto wie — być może, iż wnoszą do sztuki nowe tendencje, mimowoli szukając w nich ucieczki przed super-maszynizmem dzisiejszej doby.... *(r.)*





Widok jednego z filarów.



Sylweta mostu na Hudsonie robi imponujące wrażenie.



Potężne zwoje stalowych lin zmniejszają wahanie mostu do minimum.

Patrząc na pomniki twórczości ludzkiej

Często się zdarza ,iż patrząc na rzeczy wielkie, imponujące śmiałością koncepcji twórczej i samego wykonania — rzeczy, które można poczytywać niejako za cud — krótko o nich myślimy, i snuć wnet zaczynamy refleksje pochodne bez końca...

Patrząc więc na serję widoków mostu na Hudsonie, którą mi przyniesiono do redakcji, ograniczyłem się do przejrzenia treściwie sformułowanych wiadomości o tej gigantycznej budowie, lecz zato powstał w mej wyobraźni szereg innych obrazów, które postaram się odtworzyć wraz z króciutką konkluzją.

Zaczynam więc od mostu.

Olbrzym ten, przerzucony przez Hudson pomiędzy miejscowością, zwaną Fort Washington Heights (New York) a Fort Lec (New Jersey), jest najdłuższym mostem na świecie, dwa razy dłuższym od mostu w Detroit, budzącego do niedawna ogólny podziw — mostu Ambasadorów (Ambassador Bridge). Dzieło tej budowy zostało zainicjowane i przeprowadzone przez władze portowe New Yorku. Koszt ostatecznego doprowadzenia robót do końca wyniesie sumę 60 miljonów dolarów.

Mało?... Mógłbym tu dodać masę szczegółów technicznych lub poetyzować na temat współczesnej, a już klasycznej, „symfonji żelaza", zawartej w splocie i krzyżowaniach tysięcy belek, wiązań, łuków i t. d. — wolę jednak przeskoczyć o przeszło sto lat wstecz i pomyśleć o dziwnym widoku, który ściągnął tu, na brzegi Hudsonu, tysiące Amerykanów. Widok ten podziwiałem i ja, oczywiście na obrazku w stylu ub. stulecia, przedstawiającym trzech panów we fraczkach i cylindrach (!), płynących na płaskiem czółnie, zaopatrzonem w cudowny komin, coś w rodzaju retorty i koło. Śmieszny ten widok przedstawia pierwszą próbę statku parowego słynnego Fultona. Łupina ta, rzucona na nurty rzeki ku uciesze gawiedzi, nosiła nazwę „Claremont".



A to jest widok z lotu ptaka.

Dzisiejszy most na Hudsonie jest wytworem współczesnej techniki, wyfraczeni panowie w czółnie — to ci, co postęp ten popchnęli na właściwe tory, dzięki którym w prostym kierunku podziwiamy dziś olbrzymie „Bremen'y", nie mówiąc o doniosłości wynalazku Fultona w najszerszem zastosowaniu. I dalej, pomyślałem o tym niesłychanym wysiłku twórczym i genjuszu ludzkim. Zrealizował szereg przedsięwzięć, o których nie śniło się filozofom — i wciąż realizuje nowe.

Pomijając poszczególne fragmenty wynalazczości, stanowiące etapy o epokowem znaczeniu, przypomniałem sobie serję robót, wykonywanych z olbrzymim nakładem sił, środków technicznych i środków materjalnych. A wszystko również wiąże się z widokiem mostu w Moerdyk, przerzuconym przez odnogę morską na długości 900 m. Pociąg tędy przechodzi, przewożąc podróżnika z południa, przez Rossendaal — do Holandji. Widok ten jest poniekąd symbolem tego kraju, symbolem związania z morzem, który wówczas nawet każdego uderza, gdy przybysz dostaje się do Holandji nie od strony morza, a drogą lądową. Kilka szczegółów o aktywności twórczej tego małego kraju frapuje niesłychaną siłą kontrastu. Maleńki kraj, maleńki naród — walczy z morzem, ujarzmia je, przyciąga i odsuwa od siebie. Oto niedawno miałem pod ręką ciekawy materjał, dotyczący tej akcji, zmierzającej do uczynienia z Amsterdamu wielkiego portu reńskiego. Wprowadzenie w czyn tego dzieła pociąga za sobą konieczność zbudowania całego systemu nowych kanałów, kosztem 62 miljonów florenów.

A inna, nierównie gigantyczna praca, realizowana w tym małym kraju — osuszenie Zuiderzee, która powiększy obszar Holandji o 7%, dodając jej wykradzioną morzu nową prowincję. Koszt tego przedsięwzięcia obliczają na 454 miljony, ale wydatek ten uważać należy za zwrotny, gdyż parcelacja nowego lądu miałaby przynieść 510 miljonów.

I przypomina mi się w tem miejscu sprawa naszego Polesia...

Idę dalej...

Oto przypominam sobie olbrzymią połać ziemi francuskiej — *„les régions dévastées"*, które zwiedzałem dwukrotnie — natychmiast po wojnie i w dwa lata później. Olbrzymi wysiłek narodu francuskiego zdołał tu w rekordowym czasie dokonać olbrzymiego dzieła. Mniej to może frapować wyobraźnię, gdyż dzieło to nie jest skondensowane w jedną, zwartą formę — mostu pomnika, portu, lądu z czterema żyznemi polderami, lecz rozrzucone na szereg fragmentów o większym i mniejszym pokroju. Aby móc sądzić o wielkości tego dzieła, trzeba było zwiedzić te miejscowości zaraz po wojnie...

A oto: drobny epizod wojenny. Chodzi o wznowienie akcji zaczepnej — lokalnej, gdyż rozciągniętej na przestrzeni kilku kilometrów, na północ od Verdun'u. Czego potrzeba było? Bagateli: 18-tu dywizyj piechoty i 2040-tu dział, nie licząc sił technicznych; przełamanie frontu miało kosztować, poza ofiarami ludzkiemi: blizko 2 miljony strzałów z 75-i. 100.000 dla dział kalibru 105 i t.d. Zapotrzebowano 130 parowozów, 43 lokotraktory 12.000 klm. kabla telefonicznego i t. d. A wszystko to — ludzie, konie, sto kilkadziesiąt pociągów amunicyjnych i 11 pociągów dziennie, dla dowozu żywności — wszystko miało być poświęcone w ofierze bogowi pokoju, o który walczyły narody. Nie mówiąc o stratach w ludziach i uzbrojeniu, wydatek dzienny na amunicję (na odcinku do 18 klm.) wynosił blizko 100 miljonów dziennie.

Lata minęły, rany goją się, lecz do dziś dnia jeszcze tysiące ludzi zajętych jest oczyszczaniem pól zażartych bojów. Dość powiedzieć, że ocena starego żelastwa, odgrzebanego z pod Verdun, wynosi 130 miljonów.

*

Wiele jest rzeczy godnych uwagi i dłuższego przemyślenia.

Mimowoli odbiegłem od refleksji pokojowych i przerzuciłem się myślą do wspomnień o wielkiej wojnie.

Człowiek buduje — i ten sam człowiek burzy, wszystko w niwecz obraca, tworząc jednocześnie rzeczy wiekopomne.

Głęboki ten kontrast bardziej jeszcze uderza, niżli podziwianie pomników twórczości ludzkiej.

Jakże dosadnie zawarta jest synteza tych refleksyj w skromnym bloku granitowym, postawionym na miejscu spotkania pokonanych Niemców i Aljantów.

„Ici triompha la ténacité du poilu" (tu zwyciężyła wytrwałość żołnierza).

Walczono wytrwale o zapewnienie pokoju, burzono, by móc potem tworzyć— bo taki jest los dziejów ludzkości i sens wojen.

Przypomnę, jako konkluzję, piękne powiedzenie marszałka Focha:

„Il y a quelque chose de plus grand que la guerre — c'est la paix (jest coś większego od wojny — pokój)....

Siła kontrastu... Starożytne *Per aspera ad astra...*

Er.



Obrazek z przeszłości: pp. Nowikow i Pawłowa (najwybitniejsi tancerze świata), jako partnerzy p. Piotra Zajlicha.

ANNA PAWŁOWA

Kilka kartek z życia genjalnej tancerki

Miała zaledwie pięć latek, gdy po raz pierwszy matka zabrała ją ze sobą na popołudniówkę do Marjińskiego teatru w Petersburgu. Dawano balet "Śpiącą królewnę" — do muzyki Czajkowskiego. Była olśniona i oczarowana. W małej główce zakiełkowało silne pragnienie. Gdy tak siedziała, wpatrzona w scenę z zapartym tchem, pożerając oczami walc „corps de balletu" w II akcie, matka zapytała ją:

— Nuroczka, chciałabyś także zatańczyć razem z temi dziewczynkami?

— Nie — odparła poważnie mała Nurka — razem z niemi nie. Chciałabym tańczyć sama, tak jak „śpiąca królewna". I żeby mamusia wiedziała, że będę tak, jak ona, jeszcze kiedyś tu tańczyła na tej scenie!

Były to słowa prorocze.

*

Mając lat osiem, znalazła się już w szkole baletowej przy cesarskich teatrach petersburskich, cieszącej się szczególną opieką dworu. Cesarz nieraz odwiedzał szkołę.

Któregoś dnia spadła, jak grom z jasnego nieba, wielka wieść. Cesarz Aleksander III i cesarzowa Marja Teodorówna mają dziś przybyć! Dziewczęta od najstarszych do najmłodszych, były mocno poddenerwowane. Najbardziej może denerwowała się mała ośmioletnia Anna Pawłowa. Postanowiła sobie za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę cesarza, którego miała ujrzeć po raz pierwszy. Odtańczono wszystko bez zarzutu. Wtem cesarz zbliża się do szpaleru uczennic, idzie prosto ku Annie. Serduszko jej rozkosznie zadrżało. Już, już czuła na sobie splendor spadającego na nią wyróżnienia. Oto cesarz już jest przy niej, bierze w ręce, unosi do góry, całuje w czoło... stojącą tuż obok najserdeczniejszą przyjaciółkę Pawłowej — malusią Polkę, Stasię Bielińską (był to, zdaje się, pierwszy i ostatni sukces taneczny owej Stasi, bo w dziejach baletu o niej głucho). Anna nie wytrzymała tego rozczarowania. Wybuchnęła rzewnym płaczem. Dyrektor szkoły baletowej skamieniał z przerażenia. Tymczasem Anna spazmowała coraz głośniej.

— Czewo rewiosz, dietka? (Czemu beczysz, dziecinko?) — zapytał car, uśmiechając się, co mu się dość rzadko zdarzało.

— Wasza cesarska mość — łkała Anna — nie zechciałaby mnie też wziąć na rękę, jak Stasię?

Cała świta cesarska zaśmiała się wesoło, a wielki książę Włodzimierz podbiegł do ambitnej małej, wziął ją na kolana i pocieszał.

Lecz Anna płakała coraz głośniej, wołając:

— Nie chcę księcia, chcę prawdziwego cesarza.

Tu już cała świta zdrętwiała z przerażenia, a dyrektor szkoły nie wiedział, czy odrazu strzelić sobie w łeb, czy czekać cierpliwie, aż zostanie zesłany dożywotnio na Syberję.

— Wasza cesarska mość — łkała Anna — nie zechciałby mnie też wziąć mówiąc:

— Mam za swoje! Nie powinienem się był pchać na miejsce cesarza. Czy wszystkie tak kochacie cesarza, dziewczęta?

— Wszystkie! — odparł chór głosików dziecięcych.

Cesarz zapytał o imiona swej wybranki i jej zazdrosnej przyjaciółki.

Gdy się dowiedział, oświadczył dyrektorowi:

— Dostanie więc pan Annę i Stanisława z mieczami.

*

Zgoła inaczej wypadło spotkanie Anny Pawłowej, już jako primabaleriny, z Mikołajem II. Gdy po raz pierwszy ujrzał jej „Umierającego łabędzia", zawezwał ją do swej loży, powinszował banalnie, poczem czuł, że wypada jeszcze coś rzec, ale nie wiedział, co. Wreszcie, ze zwykłą swą nieporadnością, rzekł nieśmiało: „Bardzo się dziwię i serdecznie żałuję, że mnie jeszcze nigdy nie pokazano tego pani „łabędzia", choć mi tyle o nim naopowiadano. I mówią jeszcze, że ja jestem samowładcą" („I jeszczo goworiat, czto ja samodzierżec").

Na nic więcej, ponad ten głupi dowcip, zdobyć się nie umiał.

*

Gdy tańczyła w maju 1914 r. w Operze berlińskiej, została również zaproszona do loży cesarskiej. Mistrz ceremonji uprzedził ją, że ma najpierw skłonić się przed cesarzem Wilhelmem II, a potem przed cesarzową i podaną jej rękę cesarzowej ucałować.

Uczyniła to przepisowo. I cóż się okazało? Na białej rękawiczce cesarzowej Augusty zaczerwieniła się plama od karminu z ust tancerki.

Ten krwawy stygmat wywołał ogólną konsternację. Zapanowało dręczące milczenie. Pawłowa zrozumiała to. Skłoniła się raz jeszcze cesarzowi i cesarzowej, poczem w milczeniu opuściła lożę.

A po trzech miesiącach krew rosyjsko-niemiecka już lała się na polach bitew.

*

Zabawna rzecz przytrafiła się Pawłowej już w ostatnich latach, gdy występowała w Nottingham. W dzień pierwszego występu ktoś nieznany ofiarował jej olbrzymiej wielkości bombonjerę, najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek otrzymywała. Na pokrywce tej bomboniery znajdował się po mistrzowsku wykonany portret olejny Anny Pawłowej. Wielka tancerka przyznawała, że był to bodaj najwspanialszy upominek w jej życiu. Męczyła ją ciekawość, któż mógłby go jej dać. Czyżby ten mizerny młodzieniec, który siadywał stale w pierwszym rzędzie i wpatrywał się w nią obłąkanem okiem? Postanowiła pochwalić się tym podarkiem i na ostatniem przedstawieniu kazała podczas uczynionej jej na otwartej scenie owacji, wnieść również ową bombonierkę. Wtem wpadł na scenę jakiś starszy pan, wyrwał bombonierkę i chciał z nią uciec. Cóż się okazało?

Był to właściciel sklepu z czekoladkami, u którego ją kupiono i jeszcze nie zapłacono. Zrobiło się zamieszanie. Wkroczyła policja. Właściciel sklepu wskazał na owego mizernego młodzieńca. Odprowadzono go do komisarjatu i tam zaaresztowano. Okazuje się bowiem, że kradł codziennie z kasy sklepu konfekcyjnego, którego był subjektem, pięć funtów, tyle bowiem kosztował bilet pierwszego rzędu na występy Pawłowej.

Żadna interwencja nie pomogła.

*



Karykatura Anny Pawłowej.

Nigdzie chyba nie przyjmowano Anny Pawłowej tak entuzjastycznie, jak w Meksyku. Impresarjo sprzedał wszystkie bilety, przed teatrem zebrał się wszakże tłum „gauchos" i „cowboy'ów", żądając wpuszczenia ich do teatru, grożąc zdemolowaniem sali w razie sprzeciwu. Policja była bezradna. Wtem ktoś wpadł na pomysł, aby występ Pawłowej przenieść do areny walki byków. Tancerka zgodziła się. Gdy tłum, wyczekujący przed teatrem, o tem się dowiedział, wyniesiono Pawłowę na rękach do areny. Tańczyła, podniecona zachwytem swych dzikich wielbicieli, ze szczególnym zapałem. Gdy skończyła, rozległ się ryk entuzjazmu, aż ziemia zadrżała w posadach, poczem wszyscy, jak jeden, rzucili na arenę swe wielkie „sombreros" o szerokich rondach i wysokich denkach, otoczonych pasami z monet złotych i srebrnych, a więc przedstawiających przeciętną wartość do tysiąca złotych każdy. Kto wie, jak niechętnie rozstaje się Meksykańczyk ze swym kapeluszem, pojmie, jak wielki musiał być entuzjazm tłumu.

*

Raz jeszcze otrzymała Pawłowa pieniądze w dowód uznania. Prezydent Wenezueli przysłał jej po występie aksamitne pudełko czterocalowej wysokości i trzycalowej długości. W niem ułożone było na jedwabiu imię i nazwisko Anny Pawłowej samemi złotemi 20-dolarówkami.

— Po raz pierwszy w życiu — mówiła — żałowałam, że mam takie krótkie imię i nazwisko.

*

Co zaś jej sprawiło największą radość? Słowa kompozytora Saint-Saensa, gdy ujrzał, jak tańczyła jego „Mort du cygne":

— Póki nie widziałem, jak pani to tańczy, nie wiedziałem, że moja muzyka jest taka piękna.

Liń.

„Zamykać oburącz"

„Przepisy są poto, aby je obchodzono" — brzmi pewne, dość smutne przysłowie, co do którego istnieją podejrzenia, że powstało w Polsce. Nie mielibyśmy się czem chwalić.

Niestety, „przepisy do obchodzenia", a właściwie „obchodzenie przepisów" spotykamy na każdym kroku naszego życia. Przez ulicę trzeba przechodzić pod kątem prostym — wszyscy chodzą na ukos. Do tramwajów nie wolno wskakiwać — wszyscy wskakują. W teatrze po podniesieniu kurtyny nikt nie ma być wpuszczony na salę — mili „retardaterzy" depczą ci po nogach przez cały pierwszy akt. Palić nie wolno — wszyscy palą. Pluć nie wolno — wszyscy plują. Śmiecić nie wolno — wszyscy śmiecą. Zaiste jesteśmy krajem złotej wolności...

Ta miła zasada: „wolnoć Tomku" — ma czasem coś z wrodzonego nam „esprit de contradition". To już nie humor Holendra, który na uwagę „tu napisane, że nie wolno palić" — odpowiada: „A tu napisane — pijcie kakao Van Houtena — czy ja mam także pić kakao?" Nie — to wrodzone nam zdolności konspiracyjne i opór władzy z czasów ś .p. okupacji. Tylko co wówczas mogło być chlubnym uczynkiem — dziś staje się pospolitem przestępstwem.

Ot tak, weźmy tramwaj. 10 stopni mrozu — zawierucha. Nad drzwiami napis jak wół: „Uprasza się o zamykanie drzwi". Pod nim — na wysokości klamki — drugi: „Otwierać i zamykać oburącz". A że u nas wielu jeszcze analfabetów, więc i sugestywny rysunek, przedstawiający dwie dłonie, zaciśnięte na klamce.

Na pierwszym przystanku wsiadają dwie paniusie. Są mocno zaaferowane i niedbale pociągają drzwi jedną ręką. Oczywiście, za chwilę przeciąg hula po wagonie, bo w tylnych drzwiach, stale otwartych, operuje konduktor, stoją pasażerowie.

Ludzie w tramwaju podnoszą kołnierze, kurczą się, kaszlą, ksztuszą. Wreszcie jeden z nich widocznie kulturalniejszy, wstaje i zamyka drzwi.

Trud daremny. Za chwilę na drugim przystanku wsiada kilka osób. Ostatnia — pan w jasnym kożuszku — śpieszy się bardzo i drzwi, oczywiście, nie zamyka. Kulturalny pasażer musi znów interwenjować.

Na trzecim przystanku wsiada wytworna dama, pachnąca na cały tramwaj Guerlainem. Aż dziw, że taka jeździ „siedemnastką". O zamknięciu drzwi niema mowy. Z miną królowej, dama wychodzi, nie obejrzawszy się nawet. A spróbój tak poprosić o zamknięcie: zobaczysz, co ci odpowie.

Na czwartym przystanku mają wysiąść dwie panienki. Te już z góry stają w otwartych drzwiach i jadą tak, nieczułe na lodowe podmuchy. Niech ktoś jeszcze powie, że u nas niema kobiet z temperamentem.

— Pocóż panie już otworzyły drzwi, przecież do przystanku jeszcze daleko, a przeciąg w wagonie? — pyta tenże kulturalny męczennik.

— A co pan taki delikatny? — otrzymuje odpowiedź.

Na piątym przystanku wsiada dwóch kupców starozakonnych. Ci zamykają, ale „jedną ręką". Widać dla nich napisy winny być zrobione w języku Dawida. Drzwi, oczywiście, stawiają opór i zacinają się wpół drogi. Teraz ani w tą, ani w tamą stronę.

Postępujący z tyłu pasażer szarpie drzwiami całą siłą, usiłując je rozepchnąć. Zanim to czyni, nadchodzi szósty przystanek. Tramwaj rusza dalej z drzwiami szeroko otwartemi.

Na siódmym przystanku drzwi są już całkowicie zepsute i o zamknięciu ich niema mowy. Wagon, będzie do końca dnia kursował z „wiatrem na przestrzał". Ile osób nabawi się fluksji grypy, newralgji, reumatyzmu, kataru — nie wiedzieć. Lekarze twierdzą, że w 85% pasażerów i obsługi tramwajowej ulega przeziębieniom, nieraz bardzo złośliwym. Ale ktoby na to zwracał uwagę. Pasażer „bojący" czy delikatny niech bierze taksówkę...

A teraz obrazek z innego świata: Oslo — stolica Norwegji. Piękny czteroosiowy tramwaj z platformą po środku, co zupełnie wyklucza przeciągi. Jednakże wysiadający czy wsiadający zamykają drzwi starannie, pedantycznie niemal.

Ale na jednym z przystanków młoda dziewczyna (jak się ma lat osiemnaście i jest się piękną, jak „Poranek" Griega — to wolno nawet być roztargnioną), wyskakuje z pędem i biegnie na spotkanie młodego człowieka. Oczywiście, że biedactwo o drzwiach zapomniało.

A wówczas staje się rzecz straszliwa. Tramwaj, który już ruszał, zatrzymuje się, jakby automatycznie, z przeraźliwym sykiem hamulców. Konduktor wysiada i woła: Hallo! panienko! zapomniała pani coś...

Dziewczę, jak niepyszne, wraca z pokorną miną i zamyka drzwi. Konduktor uśmiecha się dobrotliwie. Tramwaj odjeżdża. Gdyby tak robić w Warszawie — tramwaje nie ruszyłyby z miejsca, a konduktorów pomordowanoby...

Czy jednak przysłowie — „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło" — nie jest piękniejsze od paradoksu o przepisach? I czy stosowanie się do tychże przepisów nie jest jawnym dowodem kultury społeczeństwa?

Jeśli się mylę — niechże drzwi pozostaną otwarte.

J. G.



...i Pan chce, by go uważano za gentlemana... *(Mocaa.)*

Arabska awantura w schronisku

— Róbcie co chcecie — mówiła omdlewającym głosem pani Ziutka — nie ruszam się stąd. Nogi mnie bolą, mogę porachować wszystkie moje kosteczki, no a najważniejsze, moją przepiękną cerę, poprostu powiedziawszy, djabli wzięli. Za ten pomysł wyciągnięcia mnie na narty pięknie Wam dziękuję, do śmierci Wam go nie zapomnę.

— Spowrotem zniesiemy Panią na rękach — przymilał się jeden z uczestników wycieczki.

— Pan tylko umie nosić na rękach — odpaliła Ziutka — ale co pan, — ciekawam, poradzi na ten piękny liljowo - czerowny odbłysk mojego noska, odmrożonego i spalonego przez słońce. Noszenie na rękach nie wystarczy.

— Ale ja mam na to radę i to w moim plecaku — oświadczył pan Janek, niefortunny dotąd adorator pani Ziutki.

— Jeżeli pan faktycznie znajdzie na to radę, gotowam wreszcie przyjąć pańskie dwudzieste piąte z rzędu oświadczyny — powiedziała pani Ziutka głosem już mniej zdeterminowanym.

— A więc do dzieła — mówił pan Janek, rozpakowywując potężnych rozmiarów plecak. — Tutaj krem na śliczną buzię. Pod jego ożywczem działaniem zniknie nieznośne swędzenie, a co najważniejsze, będzie pani potem opaloną jak cyganiątko. A tutaj olejek, proszę mi pozwolić na wysmarowanie nóżek...

— Ale, ale, jeszcze się tego panu zachciewa? — przewała pani Ziutka.

— Pani, jestem w tej chwili tylko lekarzem — replikował pan Janek.

— Niech i tak będzie — zgodziła się.

— Więc wymasujemy nóżki i jutro będzie pani w dalszym ciągu hasała jak nigdy jeszcze. Jakom lekarz śmiem twierdzić, że musi pomóc, bo krem i olejek są marki Nivea, a zawierają one euceryt, jedyny racjonalny środek pielęgnacji skóry. Żaden inny kosmetyk eucerytu nie zawiera...

— Dobrze, dobrze — przerwał ktoś, — zapamiętamy sobie ten wykład.

Przed elekcją miss Europy



Miss Grecją na r. 1931 została p. Chrissoula Rozi z wysp Egejskich.



We Francji wybrano uroczą p. Janinę Juilla z Agen.



Młodziutka studentka z Amsterdamu, p. Mary Lalybeldt, została miss Holandją.

KOAI — CÓRKA KWANJU

(Dokończenie ze str. 122).

— Wiem, że mnie prawdziwie kochasz, Feng. I pamiętaj, że ja cię nigdy kochać nie przestanę, bo już dla ciebie tylko zostanie ta miłość, kiedy pierwszą spłacę dług memu ojcu. A dzwon będzie mówił do ciebie, nie do Syna Nieba.

Kiedy Kwanju jął uważnie przelewać metal w przygotowaną wielką formę, i napełnił ją już prawie po wierzch, wtedy w lawiący się spław nagle skoczyła Koai. Kwanju załamał ręce i padł zemdlony. Feng Yuan zdołał tylko, w ostatnim momencie, schwycić sandał Koai.

Wieść poszła daleko. Syn Nieba był zadowolony. Dzwon okazał się skuteczny, bo zawieszony na wieży, wydał głos dziwny:

— Kocham cię z całego serca, najdroższy!

Tłum padł na kolana i długo głowami dotykał pyłu ziemi. A Feng Yuan, przyciskając do serca trzymany pod zapiętym kaftanem sandał Koai, wzrokiem ekstatycznej miłości patrzył w górę, skąd płynął dźwięk dziwny.

I stary giser, Kwanju, przestał odtąd pracować — nie potrzebował.

Feng Yuan został nadwornym dzwonnikiem. Kiedy co rano, o wschodzie słońca i pod wieczór o jego zachodzie, poruszał serce zawieszonego na wysokiej wieży dzwonu, słyszał zawsze słowa, czyniące go szczęśliwym:

„Kocham cię z całego serca, najdroższy!"

Bo Feng Yuan wierzył w talizmany...

Impresje teatralne

Teatr Polski: „Katarzyna" Alfreda Savoira.

Przypomina mi się świetny aforyzm najsłynniejszego krytyka teatralnego, jakiego Francja posiadała, mianowicie Sarcey'a, dotyczący sztuk na tle historycznem: „Il jest parfois permis de violer l'histoire a condition de lui faire un enfant". Powiedzenie to jest jakby stworzone w sensie i stylu do „Katarzyny" Savoira.

Mniejsza o historyczną ścisłość w sztuce historycznej. Przecież wogóle teatr nie musi być fotografją życia, wbrew opinji realistów, lub zgoła naturalistów. Nie musi nią być nawet modny obecnie „reportaż teatralny". Przy sztukach historycznych można również, zdaniem Sarcey'a, „gwałcić" historję ,ale pod wskazanym wyżej warunkiem.

Savoirowi udało się to w zupełności. Ale duża w tem zasługa tutejszej „akuszerji" w postaci teatru Polskiego, jego mistrzowskiego zespołu i olśniewających ram. Temat, wybrany przez Savoira, był jednym z najwdzięczniejszych. Carowe rosyjskie i ich nienasycona „nimfomanja"! Jeszcze za czasów carskich kursował znany wierszyk na temat banknotu sturublowego. Widać było na nim pięknego nagiego młodzieńca, o atletycznej budowie. Obok zaś był znak wodny — portret cesarzowej Katarzyny II. Mówiono więc: „Stranno nie to, czto junyj Gierkules k wielikoj gasudarynie padliez, no to, czto nieprilicznyj siej siużet papał na gasudarstwiennyj bilet".

Dlaczego cytuję ten wierszyk? Bo rozlegały się głosy na premierze, dlaczego się „takie nieprzyzwoitości z życia dworskiego wywleka na scenę? Przepraszam bardzo, czyż jesteśmy monarchją, abyśmy mieli powód do obawiania się, że nimb monarchistyczny będzie przez to sponiewierany? A szczególnie, gdy chodzi o Katarzynę, inicjatorkę tylu naszych nieszczęść narodowych, tembardziej bodaj nie mamy powodu do krępowania się. Posunę się jeszcze dalej!



Leszczyński i Dominiak w „Katarzynie".
(fot. Brzozowski).

Uważam, że najwyższy czas, aby i nasi autorowie dramatyczni, tak żałośnie narzekający na brak tematów, zabrali się do „gwałcenia" obcej, a bodaj nawet naszej rodzimej historji, ale w sensie sarcey'owskim. Przygody miłosne królów nadawały im największej popularności w narodzie. I to tem większej, im te przygody były bardziej „morganatyczne". Kazimierz Wielki dużą część swej popularności zawdzięcza opowiadaniom o Esterce, a Zygmunt — Barbarze Radziwiłłównie. Możeby tak warto napisać coś o Bolesławie Śmiałym, ale nie w sensie Wyspiańskiego? A możeby tak coś o królowej Jadwidze? Ale nie na smutno, nie pompatycznie, nie z podręczników historji dla szkół powszechnych, lecz komedjowo, wesoło, żeby nie robić z nich „pomazańców", lecz coś w rodzaju „bon roi Dagobert". Jakiś „Popas króla jegomości" w lepszym stylu! Niech powodzenie sztuki Savoira na całym świecie będzie dla was wskazówką, panowie ze Związku Autorów Dramatycznych! Nie bójcie się ewentualnych protestów! Zrobi to tylko reklamę waszym sztukom! O ile będą dobre, weźmiemy was w obronę: my i... publiczność!

Soczysta, jurna, jędrna, pikantna komedja Savoira została odegrana i wystawiona w teatrze Polskim „con amore". Aż dwóch Karolów (Frycz—dekorator i Borowski—reżyser) postarało się, aby „Katarzyna" stała się jednem z najefektowniejszych widowisk, jakie widywaliśmy w teatrze Polskim. Modzelewska w roli tytułowej stworzyła kreację, opracowaną bardzo inteligentnie i sumiennie, interesującą w każdym calu, wywiązując się zwycięsko ze swego wysoce trudnego zadania. Ale sprawiedliwość nakazuje oddać jednak pierwsze miejsce Pancewiczowej. Jej carowa Jelizawieta Pietrowna — to jedna z najwspanialszych postaci, jaką oglądaliśmy na scenach polskich. Tyle w tem było majestatyczno-despotycznej cesarskości, a zarazem tyle zmysłowo-kuszącej kobiecości, tyle fizycznego piękna i moralnej pobłażliwości, tyle sprytnej przebiegłości i wyrozumiałej dobroci — że słuchało się tej wspaniałej symfonji gry aktorskiej z zachwytem, wyładowującym się co chwila huraganami oklasków przy otwartej scenie. Znakomity był w dość niezwykłej dla siebie roli Leszczyński. Jak zwykle, pyszna — Czaplińska. Z dużem powodzeniem zadebiutował w większej roli młody i dobrze się zapowiadający Ziembiński, aktor o ładnej aparycji i przemiłym głosie. Wspaniałe typy „buhajów" dali: Dominiak i Staszewski. Ten ostatni zwłaszcza porykiwał z przekonywującą namiętnością. Słówko uznania należy się również utalentowanej młodzieży: pięknej Tarnowiczównie, Czaharskiej i Karczewskiemu. Ładnie wypadły tańce układu Wysockiej i piosenki do ładnych słów Relidzyńskiego.

Teatr Wielki: „Salome" Straussa. „Płomienny ptak", balet M. Fokina do muz. Strawińskiego.

Zmodernizowany Wagner na tle archaizującego Wilde'a — oto „Salome". Budzi podziw dla mocy ekspresji i potęgi zamierzenia. Artystom stawia zadania niezwykle ciężkie. Wykonawczyni roli tytułowej, Liljana Zamorska, dokonywała cudów wytrwałości, śpiewając niemal bez przerwy dwie godziny partję, nastręczającą mnóstwo trudności. Był to majstersztyk nielada. Wspaniały był tu również Dygas, świetny Mossakowski na czele całego zespołu. Dyr. Dołżycki odniósł wielki tryumf, przeprowadzając tę całą operę bez zarzutu.

Wielce finezyjnie dyrygował „Płomiennym ptakiem" dyr. Mazurkiewicz, jeden z najbardziej utalentowanych kapelmistrzów, jakich posiadamy, wydobywając umiejętnie wszystkie subtelności modernistyczne efektownej muzyki Strawińskiego. Układ taneczny pozostawiał wiele do życzenia. Zupełny brak inwencji, ciekawszych pomysłów, słowem pustka, marnująca tanecznie najpiękniejszy bodaj z nowych baletów na tle baśniowej legendy o „Żar-pticy". Ratowała sytuację arcydoskonała kreacja Szmolcówny, której precyzja techniczna i kultura taneczna nie ma dziś sobie równej w Polsce, gdy chodzi o taniec klasyczny. „Księżniczkom" przewodziła górująca nad niemi talentem i urodą czarująca Lipkowska. Kostjumy i dekoracje bardzo malownicze. *Henryk Liński.*



Liljana Zamorska, jako „Salome".
(fot. Malarski).



Halina Szmolcówna, jako „Płomienny Ptak".
(fot. Malarski).

PIERRE MAC ORLAN. 19

Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal Motyli", zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie, postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter — antykwarjusz, Marja - Chantal Fosseuse — śpiewaczka, Lucjan Flahaut — dziennikarz, Ludwik Fraipont — chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry. Śledztwo toczy się powoli, przyczem sprawa wikła się coraz bardziej tajemniczo.

Zwrócić się do policji? Myślała już o tem. Ale przypomniała sobie dźwięk głosu, usłyszanego przez telefon.

Saint-Thierry, leżąc nawznak, blady jak trup, czatował spokojnie na sen żony. On też zdawał się widzem filmu, który odtwarzał, może z większą dokładnością wspólny bolesny temat, poruszany tylko poto, żeby się teroryzować wzajemnie.

Pewnej nocy Saint-Thierry usiłował wciągnąć Marję-Chantal w zasadzkę. Udawał sam sen i zaczął wymawiać wyrazy bez dźwięku. Jęczał i rzucał się niespokojnie. Wreszcie wymówił te słowa:

— Juanie Hortilopitz, tym razem nie możesz liczyć na mnie.

Marja-Chantal słuchała, wstrzymując oddech. Saint-Thierry zadowolił się jękiem, był jednak pewny, że żona nie spała. Wyrzekła się wypoczynku, aby móc go szpiegować. Jej nieugięta wola napełniała go niepokojem. Czuł, że teraz został przyparty do muru. Tymczasem zmęczenie zwyciężało ich oboje. Zasypiali i budzili się późno, oszołomieni bezsennością i wytężeniem nerwów.

W ciągu dnia, Marja-Chantal odpoczywała. Nie wychodziła już prawie wcale. Patrzała przez okno na nielicznych przechodniów, którzy śpieszyli ulicą, gnani przez uporczywe zimno.

Rebicant, przechodząc koło pokoju Marji-Chantal, śpiewał głośno, aby go słyszała: „Kiedy zechcesz maleńka, będę twój".

Około godziny drugiej po południu Saint-Thierry wychodził na poszukiwanie pieniędzy. Wracał w nocy. Nie zabierał żony do „Lisa", gdyż sam też bywał tam bardzo rzadko. Pożyczał pieniądze od wszystkich bywalców tego lokalu. Flahaut unikał go z tego powodu, a także dlatego, że Szymon nie mógł już służyć za dekorację. Eligjusz Mutter przyjmował go jeszcze u siebie. Możliwe, że płacił za jego pokój, przez wzgląd na Marję-Chantal. W ciągu dnia, do godziny szóstej, Saint-Thierry grzał się w domu. Siedząc wygodnie koło kaloryferu, drzemał i nie troszczył się wcale o uwagi, które mu stale robił Eligjusz Mutter.

Saint-Thierry szukał pracy. Skierował się instynktownie do składów budowlanych, gdzie poszukiwano tragarzy. Ale zawrócił pomimo głodu, który mu źle radził:

— Jeżeli to przyjmę, przegrałem.

Chodził często do małego baru, odwiedzanego przez różnego rodzaju łajdaków. Nie znał tam nikogo. Pił w milczeniu białą kawę i stwierdzał, że nędza wpędzała tych wszystkich ludzi do błędnego koła. Występek i głód łączyły się w tej marnie oświetlonej knajpce, podobnej do kostnicy, w której odbywały się tańce szkieletów. Pewnej nocy, kiedy pił w sąsiedztwie dwóch młodych ludzi, nędznie ubranych w białe poplamione kurtki, usłyszał, jak młodszy z nich, o dziecinnej, miłej twarzy, mówił do swego towarzysza:

— Mutter był przy robocie... Gwizdnąłem, wiesz, jak na znak...

Zniżył głos, zauważywszy Szymona, który nie słyszał już dalszego ciągu.

Saint-Thierry wzruszył ramionami. Intymne sprawy nie interesowały go zupełnie.

XV.

Marja-Chantal, zawsze głodna, wyobrażała sobie, że nie myśli już i może nigdy nie będzie myślała zgodnie z przepisami kodeksu honorowego, będącego w użyciu jej współczesnych. Wyrazy, których mocy poddawała się kiedyś bezwiednie, znikły z jej pamięci. Obrazy widziane, słowa słyszane, zdawały się wyrastać z mgły, której zasadzek już się nie obawiała. Między dwoma krańcami: życia i mirażem jej imaginacji istniała tylko jedna linja prosta, linja życia bez wydarzeń. Przepisy i prawa zacierały się. Trzeba było jak najprędzej przebiec tę prostą drogę i trafić na okazję, która spełniłaby pragnienia pustego żołądka i ciała upokarzanego codziennie. Marja-Chantal nie zauważyła nawet, że się poddała. Jej wstręt dla przygodnego mężczyzny nie był odblaskiem dawnej moralności. Był to wstręt fizyczny, silniejszy, aniżeli moralny. I z pomiędzy wszystkich obaw, które nadawały jej pewną niewinność, strach przed policją zabraniał jej żyć na ulicy.

Kiedy wstała w ten dzień zimowy, dręczona głodem, oczyściła suknię i nędzne czarne palto, od którego odpruła już wytarte futro. Jej słodka, dziecinna twarzyczka nosiła wszelkie ślady nędzy. Nie zastanowiwszy się nad celem swej wycieczki, skierowała się do sklepu Eligjusza Muttera. Idąc szybko, myślała, że ta ranna wizyta doprowadzi w zupełnie naturalny sposób do filiżanki gorącej kawy i kilku rogalików. Czuła też, że wszystko, czego się obawiała, stanie się zupełnie możliwem w chwili, kiedy dobroczynny płyn ożywi ją od stóp do głów. Eligjusz Mutter będzie ją pieścił, może wyda mu się ponętna. Pomiędzy tem, czem była teraz, i jej elegancką sylwetką z dawnych czasów, różnica była tak upokarzająca, że Marja-Chantal nie dziwiła się wcale temu logicznemu wyjściu z sytuacji. Spojrzała na dłoń nieobciągniętą rękawiczką. Jej linja życia była długa i wyraźna. Prawdopodobnie jej egzystencja wzbogaci się jeszcze o jakieś pouczające nieszczęście. Być może, że Eligjusz Mutter stał na straży nowej drogi.

Skręciwszy w ulicę, gdzie mieszkał Mutter, Marja-Chantal zauważyła, że okiennice były zamknięte. Okrutne rozczarowanie. A jednak nie wierzyła, że wszystko jest stracone. Eligjusz Mutter był na pewno w alkowie. Często otwierał sklep dopiero po śniadaniu. Pracował wtedy w swoim gabinecie nad osławionemi piosenkami. Marja-Chantal wiedziała o tem. Stanąwszy przed sklepem, zobaczyła, że drzwi były zamknięte; naklejona była na nich kartka:

„Z powodu wyjazdu właściciela sklep przez tydzień zamknięty".

Marja-Chantal skamieniała. Bez przerwy czytała te dwa wiersze, które obaliły cały jej plan.

Poszła do dozorczyni, która powiedziała, że Mutter wyjechał poprzedniego wieczora na kilka dni, widocznie nie na długo, gdyż kazał jej zatrzymać wszystkie listy.

— Wyszedł z Cheri-Bibi, może ona potrafi coś powiedzieć. Mieszka na ulicy Corot.

— Dziękuję, dziękuję bardzo.

Marja-Chantal poszła powoli dalej. Była godzina jedenasta. Męża pewnie nie było w domu. Poszedł zarobić kilka groszy w halach, nie wiedziała nawet, w jaki sposób. Po drodze spotkała Pedralbeza, którego światło dzienne bynajmniej nie upiększało. Uścisnął jej rękę. Potem przyjrzał jej się w milczeniu. Wreszcie wyjął z kieszeni banknot dziesięciofrankowy i podał Marji-Chantal:

— Masz, mała.

Marja-Chantal zaczerwieniła się, pieniądz upadł na ziemię. Ale Pedralbez zniknął już na skręcie ulicy. Wtedy Marja-Chantal schyliła się i podniosła zupełnie nowy banknot.

Kupiła kawę, bułkę i poranną gazetę.

Saint-Thierry wrócił podczas jej nieobecności. Spał, leżąc nawznak z otwartemi ustami. Jego źle ogolona twarz była żółta, jak wosk. Marja-Chantal, która kupiła kawę i bułkę przez litość, czuła, że ta litość nie oprze się temu bezmyślnie uśpionemu człowiekowi.

Ugotowała kawę i wypiła. Kiedy się posiliła, wzięła gazetę i zaczęła czytać. Tytuł, wy-

drukowany tłustemi czcionkami, przyciągnął jej uwagę:

Policjanci zabili złoczyńcę w obronie koniecznej.

Ugotowała kawę i wypiła. Kiedy się posilili Mont-Cenis, rozegrał się krwawy dramat. Od kilku dni tajna policja tropiła niebezpiecznego opryszka, nazwiskiem Juan Hortilopitz, którego przezwano kapitanem. Śledzony w Barcelonie przez policję hiszpańską, ukrył się we Francji. Przypuszczano, że był sprawcą głośnej w swoim czasie zbrodni, zamordowania starego właściciela baru „Bal motyli". Sprawca tej zbrodni, dzięki dziwnym okolicznościom, nie został wykryty. Policja szukała go cierpliwie. Jeden z najzdolniejszych wywiadowców upewnił się, że Juan Hortilopitz był sprawcą lub jednym ze sprawców tej zbrodni.

Od chwili przyjazdu do Paryża roztoczono nad nim śledztwo. Zaaresztowanie go było kwestją godzin. Wiedziano, że co noc przychodził do małej kawiarenki na ulicy Lamarck, gdzie spotykał się z młodym malarzem katalońskim, który, zdaje się, nie był zamieszany do operacji swego towarzysza. Wychodząc z kawiarni, Juan Hortilopitz został przytrzymany przez dwóch ludzi. Złoczyńca wyrwał się. Dał trzy strzały z rewolweru do policjantów, raniąc jednego z nich. Wywiadowcy, którzy zostali zwabieni hałasem, użyli broni. Jedna z kul trafiła bandytę w serce. Umarł, niewypowiedziawszy jednego słowa. W portfelu jego znaleziono tylko francuskie prawo jazdy, wystawione na nazwisko Harel, i kilkaset franków".

Marja-Chantal nie była wcale zdziwiona. Przewidywała ten wypadek pod tą czy inną formą od dnia, kiedy „po raz drugi" usłyszała przez telefon głos Szymona Saint-Thierry.

Śmierć Juana Hortilopitza odbierała wszelki tajemniczy charakter obawie, która dręczyła ją we dnie i w nocy.

Nieznajomym, który naznaczył jej spotkanie w „Balu Motyli", mógł być tylko Saint-Thierry. Przyglądała mu się, starając się odnaleźć w przygnębionej twarzy uśpionego odbicie tej tragicznej egzystencji, która ją z nim połączyła. Twarz Szymona wyrażała przestrach, wywołany dręczącym snem. Katastrofa wydała jej się tak nieunikniona, że Marja-Chantal nie mogła się powstrzymać, aby nie odsunąć rolet i śledzić ulicy. Czy mogła go obudzić, podsunąć mu gazetę i kazać uciekać? Była tak nieszczęśliwa, że pomyślała jednocześnie o tem, aby go zadenuncjować. Spokój jej mógł być tylko tem okupiony. Do tej myśli dołączyła się inna: była zadowolona, że nie spotkała Muttera.

— Nie miałabym sił mu się oprzeć — pomyślała.

Szymon obudził się. Otworzył przerażone oczy. Poczuł odrazu zapach i zobaczył sylwetkę żony przy oknie. Marja-Chantal usłyszała lekki szmer na łóżku. Odwróciła się i zabrała do zagrzania kawy.

Saint-Thierry dziękował jej bezgranicznie smutnym uśmiechem. Rzucił się na jedzenie, jak wygłodniałe zwierzę. Marja-Chantal była bliska płaczu.

— Juan Hortilopitz nie żyje — powiedziała poważnie, jakby mówiła o śmierci kogoś bliskiego.

Powtórzyła:

— Juan Hortilopitz nie żyje. Policjanci zabili go w nocy na ulicy Paul-Feval. Masz, przeczytaj gazetę.

Saint-Thierry jadł, nie odpowiadając. Kiedy wypił kawę, wziął gazetę, którą żona rzuciła mu na łóżko, i zaczął czytać. Rysy jego twarzy zaostrzyły się. Złożył starannie gazetę i szukał papierosa w kieszeni palta, które leżało na łóżku, służąc za drugą kołdrę. Pomimo centralnego ogrzewania w pokoju było zimno.

— Ach! — jęknął nędznik, który podnosi za wielki ciężar. — Trzeba wstać. Jestem winien gospodarzowi za trzy tygodnie. Jeśli mu nie zapłacę dziś wieczorem, wyrzuci nas na ulicę.

Spojrzał na żonę.

— Możesz odejść... Nic ci nie powiem... Jeśli cię nie zastanę wieczorem, gdy wrócę...

Szukał słów.

— Nic nie powiem... — zakończył.

Nie myślał wogóle, że sprowokuje odpowiedź Marji-Chantal. Ubrał się, wyczyścił szczotką, umoczoną w wodzie, plamy na marynarce. Położył wkońcu rękę na klamce. Potem wrócił do stołu. Szukał czegoś w szufladzie, w której leżał tylko grzebień, kawałek sznurka i drewienka do trzymania paczek.

Podszedł do drzwi i nie patrząc na Marję-Chantal, powtórzył:

— Jeśli nie zastanę cię dziś wieczorem kiedy przyjdę, może bez pieniędzy, będę wiedział, żeś odeszła i nie wrócisz więcej. Miałaś prawo opuścić mnie wcześniej...

Wyszedł i zamknął cicho drzwi. Marja-Chantal słyszała, jak szedł na dół po schodach.

*

Eligjusz Mutter odetchnął z ulgą, otworzywszy swój sklep. Zaledwie przyszedł, weszła za nim dozorczyni, przynosząc mu listy.

— Cóż to? — spytała — skaleczył się pan?

Eligjusz Mutter spojrzał na obandażowaną rękę.

— Nic strasznego, ale trochę boli. Przyciąłem palec w drzwiach wagonu. Palec jest zgnieciony. Zemdlałem nawet. Opatrzono mnie na dworcu, niedaleko Orleanu. Czy nikt do mnie nie przychodził?

— Był pan Flahaut. Potem jakiś młodzieniec, który mi nie podał nazwiska. Ta blondynka też była. Chciała się nawet dowiedzieć, dokąd pan pojechał. Odesłałam ją do matki Cheri-Bibi.

— A propos Cheri-Bibi — powiedział Mutter. — Może pani zechce zawiadomić ją, że będzie mi dziś rano potrzebna. Niech jej pani powie, że dostanie coś za to. Tylko w ten sposób można ją zapędzić do roboty. Inaczej, znam ją dobrze, puści mnie kantem.

— Poślę do niej Kamila.

Eligjusz Mutter otwierał listy. Ostrożnie poruszał lewą ręką, pomimo to uderzył się o kant stołu i zbladł z bólu. Zaledwie zdążył przejrzeć papiery, które wyciągnął z kieszeni, gdy mała Cheri-Bibi, w palcie i berecie, nasuniętym na oczy, wpadła z hałasem do sklepu.

— Wytrzyj nogi, do licha! — krzyknął jej Eligjusz Mutter na przywitanie.

Dziewczynka wróciła do drzwi i ostentacyjnie wytarła nogi o słomiankę.

— No, cóż, Chéri-Bibi? — zaczął Mutter jowialnie. — Zdrowie zawsze ci dopisuje... Widać to po twoich wydętych policzkach.

— Co się panu stało w rękę?

— Lekki bronchit — odpowiedział antykwarjusz nie bez dowcipu. — Ale nie martw się o mnie... Wiesz, co masz zrobić, zanim się zabierzesz do sprzątania? Pójdziesz do Continental-Hotelu. Rozumiesz? Dobrze. Spytasz grzecznie portjera, czy państwo Saint-Thierry jeszcze tam mieszkają. Jeśli gospodarz, który jest ciekawy, spyta, kto cię przysyła, powiesz, że pani Mousse, praczka... Rozumiesz? No, to zmykaj...

Chéri-Bibi wróciła po pół godzinie z odpowiedzią. Saint-Thierry i jego żona wciąż jeszcze tam mieszkali.

— Masz za to pięć franków. Tymczasem możesz zamiatać sklep, zanim cię zaangażują do Casino de Paris.

Chéri-Bibi raczyła się uśmiechnąć. Mutter był w dobrym humorze. Zacierał ręce i przyśpiewywał sobie wesoło.

Postawił imbryk na maszynce elektrycznej.

— Cóż mówią sąsiedzi, Cheri-Bibi? Pewnie się dziwią, że sklep był zamknięty?

— Mówią, że pojechał pan odebrać spadek. Mówią też, że pan jest miljonerem i że pewnego dnia znajdzię się taki, co pana zamorduje.

— To inna sprawa, Chéri-Bibi.

— Wie pan, syn matki Nolbart został capnięty przez kanarków.

— Co? Jak ty mówisz? Nie możesz wyrażać się przyzwoicie? Też nowa moda. Powiem matce... Nie chcę, żeby ktokolwiek przypuszczał, że ja cię uczę łobuzerskiej gwary.

— No to przyskrzynili go... Wczoraj... To wszystko...

— Między nami mówiąc — powiedział Eligjusz Mutter — niewiele był wart.

— Więcej jest takich — odparła Chéri-Bibi.

— Naprzykład jego żona. On jest niczem w porównaniu z nią... Wiem coś o tem... załatwiałam dla niej sprawunki... najpierw historja z białym pudrem, którą panu opowiadałam.

— A tak... przypominam sobie. Teraz nie zajmuje się już białym pudrem, który tak dziwnie nazywała...

— Śnieżny — podpowiedziała Chéri-Bibi. — Nie, odkąd miała te przykrości, nie sprzedaje już więcej. Zdaje mi się, że jej przyjaciółka, Żorżeta, jeszcze się tem zajmuje... Nie jestem pewna. Musiałabym coś dla niej załatwić...

— To nie zła myśl... Wiesz, że ten biedny Hortilopitz został zabity wczoraj przez policjantów... Podobno był niebezpiecznym bandytą.

(D. c. n.)

Rozrywki umysłowe

METAMORFOZY.

Metamorfoza polega na zmianie (po jednej literze) wszystkich liter danego słowa tak, aby przy zmianie każdej litery tworzyć nowe słowo. Np. boa, bok, rok, rak. Poniżej podajemy 2 metamorfozy Coturm'a. Dla ułatwienia podajemy końcowe słowo.

	a	b	c	d	e
6	B	A	Ń	K	A
5					
4					
3					
2					
1	M	O	R	D	Y

C	H	A	T	Y
I	Z	E	R	A

Nagrody

Za rozwiązanie metamorfoz przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 Zł.

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 18 lutego.

Nagrody

Za rozwiązanie zadań z Nr. 1 nagrody otrzymują (w wyniku losowania):

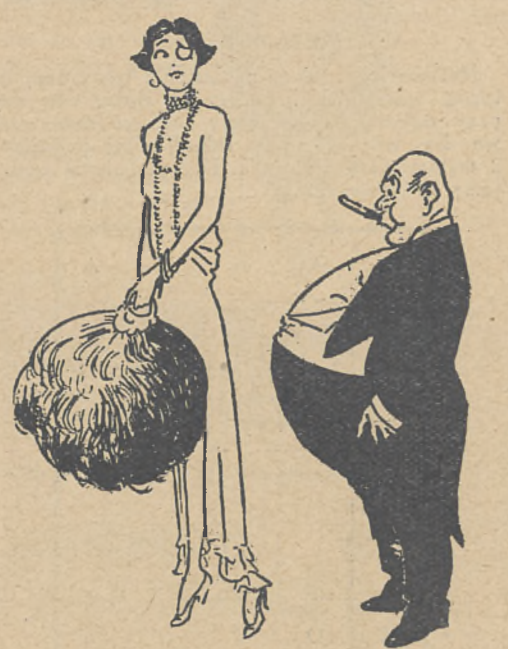
p. Jan Głowecki, Wilno, ul. Pańkowa 5.

25 zł.

Książki beletrystyczne: pp. Mieczysław Wolnowicz, Plac Kazimierza Wielkiego 6, Helena Fonnejsterówna, Lublin, Plac Buchawskiego 7, m. 25.

Po 4-letniej przerwie, wznowiono zał. w roku 1908 ilustr. miesięcznik dla zbieraczy znaczków pocztowych „Filatelista", jako Organ Międzynarodowego Związku Filatelistów i Korespondentów „Unja" (dawniej we Lwowie). N-ra okazowe bezpłatnie wysyła: Administracja „Filatelista", Ciechocinek-Zdrój.

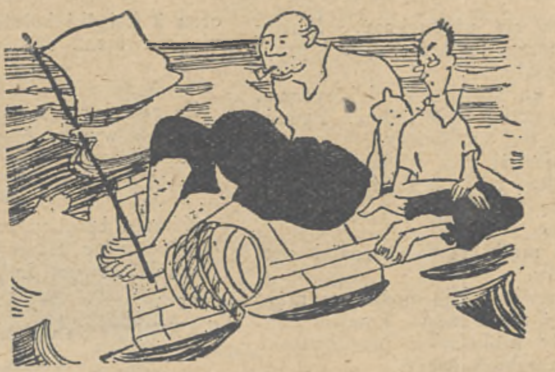
HUMOR



— *To jednak lepiej mieć taką figurę, jak pan.*
— *???*
— *Bo pan zawsze wie, gdzie panu spadnie popiół z cygara.*
(Bystander)



— *To nieznośne, że ta orkiestra wciąż gra jedno i to samo...*
— *To nie orkiestra — to wentylator.*
(Wahre Jacob).



— *Czy ty myślisz, że nas znajdą?...*
— *Naiwny! Ja się tego właśnie boję, bo policja 12-tu państw mnie poszukuje.*
(Candide).



— *Panie szofer! Podwieź mnie pan do następnej latarni!*
(Rire)



— *Patrz, jak to sędzia zażera dowody rzeczowe!*
(Rire)

Fałszerstwo pod ochroną policji

O tem, że procedura sądowa niemiecka stanowi zbiór najdziwaczniejszych i sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem przepisów, można się przekonać, czytając przebiegi procesów sądowych w Niemczech. Nie daj Boże, o ile podsądnym jest przedstawiciel mniejszości, szczególniej Polak. Wtedy, interpretacja prawa oraz cała aparatura sądowo-śledcza kieruje się wybitnie przeciwko oskarżonemu, chociażby składanie najwiarygodniejszych alibi, czy też zeznania świadków, oczyszczały podsądnego z przestępstwa.

Jednakże Niemcy, których umysłowość jest o wiele cięższą od umysłowości innych narodów europejskich, mają w swych annalach policyjnych kwiatki, mogące w podziw wprowadzić najślamazarniejszych detektywów zagranicznych.

Oto jeden z nich.

Stałym gościem, w jednej z kawiarni berlińskich, był niejaki Gottlieb Berner, z zawodu litograf. Przychodził sobie codziennie na kufelek piwa i przejrzenie „Vossische Zeitung". Czytał ją od deski do deski, ponieważ, jakkolwiek był tylko rzemieślnikiem, jednakże interesował się wszystkiemi sprawami, omawianemi na łamach tej gazetki.

Pewnego razu, działo się to siódmego sierpnia 1854 roku, Berner przybył, jak zwykle, na swoje piwo, jednakże, nie czytając pierwszych stron pisma, które go zawsze przedtem interesowały, zagłębił się w odczytywaniu drobnych ogłoszeń

Nic dziwnego. Stracił posadę. Miał, coprawda, trochę zaoszczędzonego grosza, jednakże nie starczało go na tyle, by żyć z procentów. Po chwili znalazł tego rodzaju wzmiankę:

„Potrzebny zdolny litograf, który mógłby się podjąć trudniejszej roboty. Adres wskaże redakcja".

Bernerowi spodobał się anons. Nie obawiał się trudniejszych prac, gdyż na poprzednich swych posadach był uważany za mistrza w swoim fachu.

W redakcji otrzymał adres niejaki, pana Klebera, do którego postanowił udać się dnia następnego. Będąc jednak ostrożnym z natury i nie chcąc przyjąć posady u człowieka nieznanego, starał się ściągnąć jaknajwięcej referencji o swym przyszłym zwierzchniku. Wszystko układało się pomyślnie. Dowiedział się, mianowicie, że pan Kleber prowadził poprzednio kancelarję adwokacką i że cieszył się zawsze, w kołach swych kolegów i znajomych, szacunkiem i dobrą opinją. Obecnie zaś, dorobiwszy się pieniędzy na swym poprzednim zawodzie, zamknął się w swej willi, w której pędził spokojny żywot zamożnego obywatela.

Kleber przyjął Bernera bardzo uprzejmie, a dowiedziawszy się, że reflektuje na posadę, oferowaną przez niego w gazecie, zażądał świadectw z poprzednich prac, poczem, zadowolony z papierów swojego petenta, wtajemniczył go w rodzaj pracy, którą mu zaofiarował.

Praca była ciekawa i wymagająca artystycznego wykonania, a polegała na tem:

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej były ostatnio niezadowolone ze swych banknotów, wyrabianych u siebie. Mało z tego, że były brzydkie, ale liczni fałszerzy doszli niemal do precyzji przy ich podrabianiu. Otóż rząd Stanów Zjednoczonych zwrócił się za pośrednictwem swego konsula, do niego, Klebera, z propozycją druku banknotów w Niemczech. Oczywiście, w największej tajemnicy. Wtedy on, Kleber, postanowił przedstawić Stanom Zjednoczonym wzory projektowanych banknotów i w tym celu poszukiwał zdolnego litografa, nigdzie niezaangażowanego, któryby potrafił takie wzory sporządzić, pod jego kierunkiem i opieką. Ponieważ jednak chciałby się wprzód przekonać o tem, czy Berner potrafi wykonać robotę precyzyjnego rysunku, da mu do wykonania na próbę klisze pięciotalarowych banknotów pruskich, które są obecnie w obiegu. O ile próba się uda, to natychmiast otrzymają zamówienie amerykańskie, na którem obaj dużo zarobią.

Berner zgodził się chętnie, tembardziej, że szeleszczący zadatek w kieszeni był argumentem mocno zachęcającym. Praca się rozpoczęła zaraz, następnego dnia, przyczem Berner okazał się rzemieślnikiem naprawdę zręcznym i inteligentnym. Jedynie żona Bernera powzięła podejrzenie, że jednak coś jest nie w porządku. Namówiła męża, żeby poszedł zawiadomić policję o rodzaju zajęcia, do jakiego został zaangażowany. Berner udał się wtedy do radcy policyjnego, Fryderyka Stiebera, o którym się uprzednio dowiedział, jako o specjaliście od spraw fałszerskich.

Pan radca Stieber mocno się zatroskał całą aferą. Przyszła mu ona sama w porę, gdyż ostatnio nic nie miał ciekawego do roboty, przyczem jego zwierzchnicy zaczęli już oddawna kręcić nosem na jego bezczynność. Berner miał się dla niego stać odskocznią, do wykrycia nowej, niebezpiecznej afery fałszerskiej, przyczem, w razie pomyślnego rezultatu, mógł pan radca liczyć na pochwałę, a może nawet i na awans.

Jednakże postanowił całą aferę wyreżyserować w sposób romantyczny, to znaczy uczynić ją najbardziej tajemniczą, by później wpaść na czele swych agentów do fabryki pieniędzy i nakryć przestępców in flagranti. To też umówił się z Bernerem, że ten nadal będzie wykonywał swoje oryginalne zamówienie, informując policję o stadjum pracy.

Berner zgodził się z ochotą na propozycję radcy Stiebera, tem chętniej, że mu obiecano sowitą nagrodę za meldunek w policji.

Po dwuch tygodniach jedna strona banknotu była wykończona. Kleber był zadowolony ze swego pracownika, jednakże wykonanie samej kliszy nie wyczerpywało całokształtu egzaminu litografa. Trzeba było teraz kliszę wydrukować. Pewną trudność stanowiło brak odpowiedniej prasy. Kupienia zaś jej nie mógł się podjąć sam Kleber, gdyż mogłoby to zwrócić uwagę ludzi niepożądanych. A przecież wszystko należało utrzymywać w najgłębszej tajemnicy. Tego wymaga rząd Stanów Zjednoczonych. Nic więc nie pozostawało innego, jak powierzenie tego sprawunku Bernerowi. Berner wziął, wręczone mu przez Klebera pieniądze i poszedł prosto do radcy Stiebera. Pan radca Stieber zdecydował jednak, po głębokim namyśle, że jeszcze nie nadeszła chwila zdemaskowania całej roboty, i że należy ją kontynuować dalej. Znane przecież były tricki reklamowe, które polegały na drukowaniu jakiegoś banknotu państwowego, z jednej strony, z drugiej zaś ogłoszenia, naprzykład karmelków.

Dlatego też oświadczył Bernerowi, że ten ostatni winien wykonać drugą stronę banknotu i pozwolić wydrukować Kleberowi parę sztuk, a wtedy dopiero policja wpadnie do willi i przychwyci fałszerza na gorącym uczynku przestępstwa. Pomysłem tym byli obaj zachwyceni; projektodawca i wykonawca. Trudność w nabyciu odpowiedniej, ręcznej prasy drukarskiej, usunął również radca Stieber, który posiadał w swych składach policyjnych prasę, zdobytą u innych fałszerzy. Wziął też pieniądze od Bernera i polecił temuż wydać prasę.

W willi adwokata Klebera zawrzała teraz gorączkowa praca. Berner mozolił się nad kliszą odwrotnej strony banknotu, natomiast Kleber pilnie drukował pierwszą. Wreszcie nadszedł moment zrobienia pierwszego kompletnego banknotu. Okazał się tak łudząco podobnym do prawdziwego, że ani Kleber, ani Berner, po zmieszaniu go z innemi, nie mogli później rozpoznać. Pierś Bernera napełniła się dumą z tak dobrze wykonanej roboty.

Jednakże ani na chwilę nie zapominał o swym obowiązku względem państwa, no i radcy Stiebera.

Na drugi dzień rano, zameldował się w komisarjacie policji, donosząc Stieberowi, że chwila decydująca nadeszła. Stieber, któremu już od wielu dni śnił się po nocach order, za schwytanie bandy fałszerzy, raźno udał się pod wskazany adres. Willę otoczył gęstym kordonem policjantów, poczem na czele kilku detektywów wkroczył do wnętrza domu.

I tutaj rozpoczyna się ostatni akt tej operetki. W całym domu niema żywego ducha. Tylko w „pracowni" porzucona prasa policyjna i kilka nieudałych banknotów. Pan mecenas Kleber ulotnił się w nocy, zabierając ze sobą klisze wraz z wydrukowanemi biletami.

Pan radca Stieber przechytrzył całą sprawę. Miast odrazu zaaresztować „dostawcę" banknotów dla Stanów Zjednoczonych, pozwolił mu spokojnie przygotowywać sobie klisze, poczem z własnego magazynu dostarczył fałszerzowi prasę do druku pieniędzy. Cała sprawa nabrała ogromnego rozgłosu. Pan radca otrzymał w nagrodę za swą gorliwość dymisję, bez wypłacenia mu wysłużonej emerytury.

W rok później natomiast całe Prusy zosotały zalane powodzią fałszywych banknotów pięciotalarowych, wykonanych pod opieką i przy pomocy pruskiej policji.

(g)

OGRÓD ZIMOWY
W WARSZAWIE

Niedawno pisano o mającem nastąpić otwarciu pierwszej sztucznej ślizgawki w Warszawie. Wiadomość ta wywołała niezwykłe zaciekawienie, jakkolwiek sztuczne tory łyżwiarskie, czynne również w najgorętszych miesiącach lata, są w Europie zjawiskiem powszednim, a w Polsce posiadają taki tor Katowice. Czemś jednak zupełnie niepowszednim, w Polsce zaś zupełnie niespotykanem, są zimowe ogrody egzotyczne, istniejące tylko na zachodzie przy najbardziej luksusowych kawiarniach i coctail-barach. Pary, zmęczone tańcem, podniecone nektarem XX wieku — coctailem, mają tu możność ochłonąć wśród kaktusów i innych roślin egzotycznych. Mieniące się kolorami tęczy fontanny chłodzą powietrze i działają na człowieka orzeźwiająco.

Tego rodzaju pierwszy w Warszawie egzotyczny ogród zimowy będzie posiadało, mające zostać wkrótce otwarte wielkie przedsiębiorstwo kawiarniano-dancingowo-kabaretowe p. n. „ADRIA", z największą salą dancingową w podziemiach nowego gmachu przy ul. Moniuszki 10, która może pomieścić około tysiąca osób, a koszty jej artystycznej oprawy wynoszą przeszło miljon złotych. Znajdzie się tu również wielka stylowa sala kawiarniana i trzy coctail-bary, obsługiwane przez pierwszorzędnych mikserów.

Walki kogutów



Walka kogutów jest ponurą igraszką, widowiskiem krwawem i pozbawionem wszelkiego sensu. Bo gdybyż tu znaleźć można miejsce dla szlachetnej emulacji sportowej, okraszonej ryzykiem lub o wykazanie wysokiej wartości rasy, albo o zadowolenie estetyczne... Toteż, mimo, iż widowiska te mają wielu zwolenników na świecie, a zwłaszcza w Południowej Ameryce, w Sjamie, na Archipelagu malajskim i w północnych prowincjach Francji i Belgji — władze podzielają punkt widzenia Lig Opieki nad Zwierzętami i usiłują nie dopuścić szerzenia się tej krwawej rozrywki.

Kogut jest specjalnie trenowany do walki. Oprócz dzioba i ostrych pazurów, któremi walczy, zaopatrzony jest w długie szpikulce - ostrogi u nóg. Podniecone specjalną djetą, a nawet alkoholem, koguty walczą, aż pióra unoszą się dookoła i dopóki pokonany przeciwnik nie legnie na piasku areny.

(h. i.)





Wskutek licznych protestów opiekunów zwierząt, walki kogutów, które tradycję swą wywodzą z przed wieków, zostały zabronione. Okrutne te widowiska uprawiane są jednak w licznych krajach, a zwłaszcza w południowej Ameryce (na fotografji — wysyłka kogucich zawodników w Meksyku), oraz w Belgji i w północnej Francji (na prawo — fotografja prezeski franc. towarzystwa opieki nad zwierzętami, p. Du Gast, w chwili gdy mobilizuje asystę władz celem uniemożliwienia odbycia się walki kogutów w Cernay-la-Ville pod Paryżem).

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk. Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200 ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny EUGENJUSZ RAFALSKI Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.